Nr. 13 (1420). Warszawa, 28 Marca 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

***Adres:* Wspólna Nr. 17. Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szanownym abonentom przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał II.

POLITYKA

Paragraf siódmy.

W projekcie prawa o stowarzyszeniach, przedstawionym obecnemu sejmowi niemieckiemu przez Radę Związkową, znajduje się paragraf, z kolei siódmy, wymierzony przeciwko Polakom a ustalający zasadę, że na wszelkich zgromadzeniach publicznych w całych Niemczech przemawiać wolno jedynie tylko w języku niemieckim. Od tej zasady wyjątek uczynić może tylko rząd danego kraju, ze słusznych powodów. Gdy projekt po pierwszem odczytaniu dostał się do komisyi roztrząsającej, objawił się odrazu taki opór przeciw paragrafowi, pozbawiającemu nie-Niemców praw człowieka, iż można było nawet poważnie przewidywać odrzucenie. Opozycyę prowadzili wolnomyślni, i ich też stanowisko było rozstrzygającem od samego początku. Należą oni do t. zw. bloku rządowego, który udało się sklecić p. Bülowowi dla gładszego stemplowania głów niemieckich pieczątką pruską — ale w bloku nie tkwią, mają w nim tylko stacyę przejściową. Opór ich więc mógł być wytrwałym, logicznym, rozumnym, mógł zakończyć się zerwaniem i z blokiem i z rządem i zwalić wstrętny paragraf. Stało się jednak inaczej: wolnomyślni weszli w kompromis z wolno-konserwatystami, swymi kolegami z bloku, puścili węch w stronę rządu i, ostatecznie, wyparli się swej roli uczciwej — a zaprzaństwo swe przyoblekli we wniosek, uznający zakaz za normę prawną Narodu Niemieckiego dla ludzi innej mowy.

Troista jest przyczyna takiego zniekczemnienia ideowego. Najpierw wolnomyślni nie mają szczerych przekonań i zasad, cczących wolność, prawu i dobru jej oddanych; wogóle są bez idei, bez myśli do serc wnikającej, bez ideału. Czują, że nie można rządzić tylko kijem, wiedzą, że człowiek więcej znaczy w dziejach od kija, więc się opierają absolutyzmowi pruskiemu, chcąc swobody ruchów dla siebie, chcą jej i dla innych, stąd upominanie się o prawa, o reformy humanitarne; mają też nieco zmysłu politycznego — i widzą, że w dzisiejszych Prusach stronnictwo bez opozycyi jest workiem z trocinami, którem rząd tylko może usypać sobie drogę do coraz większego absolutyzmu. Głównie wolnomyślność ich polega nie na radykalizmie, prowadzącym w jedną stronę do demokratyzacyi społeczeństwa, w drugą do republikanizmu dla ewolucyi przyszłej utajonego w chwili obecnej, ale na bezreligijności i zerwaniu z tradycyjną moralnością, na której straży stał kościół. Jak za czasów kulturkampfu w narodowo-liberalnych, w trzodzie bismarkowskiej najwierniejszych i najwytrwalszych — siłą rozpędową nie była myśl wolna — jakiś powiew światła radującego rozum, ale nienawiść protestancka do katolicyzmu, tak dziś stronnictwo, wypisujące na sztandarze swoim myśl wolną, kieruje się głównie nienawiścią do stanów i klas t. zw wyższych, od wyższości stanowisk i środków posiadanych, a głównie do baronów i lieberbaronów, do junkrów na rycerstwie ziemskiem osiadłych i agraryzmowi hołdujących. Przeciwko temu stronnictwu wsi, jako folwarku i całych kluczy folwarków są wolnomyślni stronnictwem miasta, mieszczaństwa i jego interesów, pojmowanych wszakże łagodniej, przyzwoiciej, nie tak grubo materyalistycznie, jak się to dzieje wśród narodowo-liberalnych, najnikczemniejszego ze stronnictw niemieckich i pruskich. Nie są wolnomyślni czystymi Spiessbürgerami od robienia pieniędzy i głupstw lub małości; owszem, mają pewne widoki, pewne ciążenie ku ludowi; ale i w tem nie mają idei, są ściśle pozytywistami i konkretnikami, i hołd złotego cielca nie jest im obcy, zawsze też pokazywali, że lubią i walory i giełdę. Na giełdę właśnie się teraz złapali.

Jednocześnie prawie z projektem o stowarzyszeniach rząd związkowy, a jest nim p. Bülow, w rzadkich wypadkach cała rada, opracowywał nową ustawę giełdową, w niej zaś nowe zasady operacyj i dozoru nad niemi. Wolnomyślni, będąc w bloku, postarali się, aby w projekcie nie było tego, coby im się nie podobało. P. Bülow przyrzekł był już i rzeczywiście wprowadził wolność do operacyj: zniósł nienawistny dla giełdy regestr handlu terminowego, oraz kary za grę i niegodziwą spekulacyę. Teraz kiedy wolnomyślni wystąpili tak mocno przeciwko paragrafowi siódmemu, zagroził i cofnięciem dobrodziejstwa bezkarności i usunięciem niedogodnego regestru. Wolnomyślni znaleźli się na rozdrożu. Prawa człowieka zapewne dobre, ale prawa giełdy lepsze: zawarli kompromis, uznali zasadę i zastąpili projekt rządowy swym własnym. Treść jego taka: Rozprawy publiczne mają się odbywać po niemiecku, z wyjątkiem kon-

gresów międzynarodowych i zgromadzeń wyborczych. Dalsze wyjątki postanowi każdy kraj u siebie. Jeden wszakże z tych wyjątków robi już teraz sam sejm. Oto tam gdzie ludność zdawna osiadła nieniemiecka ma natężenie ponad 60% ogółu zaludnienia, wolno jej będzie przez 20 lat t. j. do r. 1928, używać mowy ojczystej, o każdem jednak zgromadzeniu policya zawiadomiona być powinna na trzy razy po 24 godziny przed terminem. Wolnomyślni po takiem wyparciu się zasad mieli jeszcze odwagę usprawiedliwiać je w umyślnej uroczystej deklaracyi, a jeden z lepszych między nimi, Payer, wykładał nawet Polakom korzyści inicyatywy wolnomyślnej. Komisya d. 18 b. m. przyjęła zmianę 16 głosami na 28.

I tak stronnictwo, niegodne spadku otrzymanego po wielkiej Fortschrithe-Partie zburzonej przez Bismarka, wydało p. Bülowowi swą maczugę Herkulesa, swą wiarę w to, co się ma w sobie i w samego siebie. W stosunku do Polaków zawsze zimne, trzeźwe, nawet powściąganej tylko niechęci pełne, stanęło teraz jawnie na ultra-niemieckiem, inne narodowości gniotącem stanowisku, wiedząc, że rząd nowemi strzałami kołczan swój przeciwko Polakom napełni. Jakie będą doraźne, zewnętrzne skutki prawa, o ile się ono prawem stanie, o ile Izba nie przywróci czystego projektu pruskiego? Statystyka daje odpowiedź smutną. W Prusiech Zachodnich jest powiatów z 60% lub nieco więcej Polaków tylko 6: Starogród, Kartuzy, Puck na Pomorzu, Lubawa, Brodnica na pograniczu z Królestwem i Tuchola w głębi. W Poznańskiem jest takich powiatów 26 około Poznania i w zachodniej części kraju, również bliżej pogranicza; w 16 przeważają już Niemcy. Sam Poznań, niestety, ma polskości w ludziach już tylko 57%. A pytanie jeszcze jak ten procent obliczać będą landratowie, prezydenci i nadprezydenci i której statystyki trzymać się będą: Biura Stat. zr. 1905, czy swojej własnej kolonizacyjnej, lub hakatystycznej. Na Górnym Śląsku jest jeszcze powiatów dobrych 20. Brzemię spadnie na to wychodźstwo nieszczęsne, które pozbawiając siły pracującej kraj własny, szuka szczęścia na obczyźnie. Te wszystkie obieżysasy, te Westfalczyki będą musiały albo milczeć albo gadać poniemiecku, choćby o najmarniejszych, najlichszych sprawach żołądka i chleba rozprawiać chciały. Prześladowanie dotknie też Alzatczyków i Duńczyków. I co znaczy te lat 20? Gdy raz wyłom zrobiony, wedrze się weń niemiectwo jaknajprędzej, żywiołowo. Trudniej było mur wyszczerbić, niż teraz rogatkę w nim zrobioną wywrócić.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Komisya parlamentu niemieckiego przyjęła w drugiem czytaniu 16 głosami przeciwko 12 wniosek kompromisowy do paragrafu 7 w następującem brzmieniu:

„Rozprawy na zgromadzeniach publicznych odbywać się mają w języku niemieckim. Przepis ten nie dotyczy kongresów międzynarodowych i zgromadzeń wyborczych, po ogłoszeniu terminu wyborczego. Dopuszczalność dalszych wyjątków ma być uregulowana przez prawodawstwo krajowe. Wszelako w tych dzielnicach kraju, w których w okresie kiedy ustawa o stowarzyszeniach zyska moc obowiązującą, znajdować się będzie dawno osiadła ludność, mająca język ojczysty nieniemiecki, dozwolone zostaje podczas 20 pierwszych lat po uprawomocnieniu ustaw o stowarzyszeniach używanie języka nieniemieckiego, o ile wynik ostatniego spisu ludności wykaże, iż ludność ta przekracza 60% ludności ogólnej i o ile urządzający zgromadzenie publiczne zawiadomi o tem policyę na 72 godziny przed odbyciem się zebrania". Przeciw głosowali Polacy centrum i socyalni demokraci. Większość blokowa przyjęła również w par. 10 wniosek konserwatystów, domagający się wyłączenia ze stowarzyszeń i zgromadzeń politycznych młodzieży do lat 18. W plenum izby część posłów wolnomyślnych prawdopodobnie głosować będzie przeciw uchwale komisyi. Demonstracye na cześć ofiar marcowych, minęły spokojnie, natomiast doszło do starć z policyą podczas demonstracyj na rzecz powszechnego prawa głosowania, urządzonych przez socyalistów.

Austryacka rada państwa ma być zwołana 2 kwietnia. Po dłuższych rokowaniach utworzone wreszcie zostało ministeryum robót publicznych, kierownikiem tego ministeryum mianował cesarz Gessmana, ministra bez teki; w zakres działalności nowego ministeryum wchodzą: budowle wodne, górskie, przeprowadzenie dróg, górnictwo, popieranie przemysłu i handlu.

Francuska izba deputowanych uchwaliła kredyt w sumie 35,000 franków na przeniesienie zwłok Zoli do Panteonu. Generał d'Amade doniósł, że pokonał znaczny oddział Marokańczyków pod Medelruni, straty francuskie były nieznaczne. W walce dwóch sułtanów marokańskich o władzę, według wiadomości, ze źródeł francuskich pochodzących, stanowisko Abdul Arisa wzmocniło się znacznie. Inne natomiast wiadomości donoszą, że liczba jego stronników maleje, i że wkrótce armia Hafida wyruszy z Feru do ataku na Rabat.

Projekt angielski utworzenia namiestnictwa w Macedonii prasa francuska uważa za niemożliwy do przeprowadzenia. Wprowadzenie bowiem projektu wymagałoby zupełnej ewakuacyi Macedonii od armii tureckiej, na co Porta nie zgodzi się nigdy nietylko ze względów politycznych, lecz i religijnych. Wprowadzenie zaś do Macedonii cudzoziemskiego korpusu okupacyjnego, wywołałoby bezwarunkowo wojnę. Najwięcej prawdopodobnem wyjściem będzie pewien kompromis między państwami, bardziej dogodny dla Porty.

W rzeczypospolitej Haiti wybuchła rewolucya przeciw prezydentowi Nordowi, spiskowcy schronili się do konsulatów europejskich w Port-au-Prince; toczą się rokowania z rządem republiki, mające na celu uzyskania dla rewolucyonistów pozwolenia swobodnego opuszczenia wyspy. Dla ochrony Europejczyków Francya, Anglia i Niemcy wysłały okręta wojenne do Port-au-Prince.

***Daily Mail* donosi: W Teheranie mnożą się z dnia na dzień rabunki i rozboje. Policya jest bezsilną. Zatarg między parlamentem a szachem zaostrza się coraz bardziej, z jednej strony kamaryla usiłuje pozyskać szacha dla swych celów reakcyjnych, z drugiej — grupy rewolucyjne doprowadzić pragną do starcia zbrojnego.**

---

7)

Niewyjaśniona sprawa.

(ze wspomnień o Sudiejkinie, druk.] w Nr 1 miesięcznika *Nasza Strana* 1907 r.)

(Ciąg dalszy)

Raz na tydzień widywać się miałam z Sudiejkinem, w piątek, o godzinie 5-ej wieczorem; mogłam jednak, jeśliby to było potrzebnem, wezwać go w każdym czasie, tj. wtedy, gdybym dowiedziała się o jakimś zamiarze terrorystycznym lub jeślibym chciała zapobiedz aresztowaniu potrzebnej mi osoby, co równało się denuncyacyi tej potrzebnej osoby; ale ja udałam, że nie pojmuję celu Sudiejkina.

Stałe widzenie z Sudiejkinem i możność sprowadzenia go na zawołanie były dla mnie nadzwyczaj pomyślne i gdybym miała wówczas bombę w ręku, w każdej chwili mogłam była skończyć z moim współpracownikiem.

Złotopolski chciał na wszelki wypadek dać mi adres pewnego mieszkania w Petersburgu, ale po dłuższej naradzie przyszliśmy oboje do przekonania, że to byłoby niebezpiecznem. Znajdowałam się w takim stanie, że w każdej chwili mogłam zachorować, pójść do szpitala, dostać gorączki, maligny i nagadać tego, czego nie należało, wymienić nazwiska, adresy.

Co się tyczy mego stanu, lękałam się, że Złotopolski odmówi mi swej pomocy w mojem przedsiewzięciu, ale on taki był roztargniony i taki dziwny, niby półsenny, że widocznie nie zdawał sobie nawet sprawy, o jakiej chorobie mówiłam.

W Petersburgu mogłam znaleźć znajomych z południa śród uczącej się młodzieży, należącej do „Narodnoj Woli", i przy ich pomocy odszukać potrzebnych mi ludzi. Ale obawiałam się dowiadywać się o nich w biurze adresowem, bo to mogło się wydać i sprowadzić na nich szpiclów.

Z obawy szpiegów nie mogłam też jechać znowu do Moskwy dla odszukania znajdujących się tam nielegalnych, których adresy były mi wiadome. Musiałam też mieć się na baczności przy wysyłaniu listów, ażeby się nie dowiedzieli do kogo piszę, zaś sama otrzymywałam listy bez podpisu, tylko z pieczątką wagonu pocztowego.

Miałam znajomego farmaceutę, człowieka całkiem prywatnego, choć sympatyzującego z rewolucyą, nienawidzącego szpiclów. Mawiał on, że dla wytępienia ich gotów dostarczyć szprycek z trucizną, trucizn do sztyletów, ażeby wielu rąk nie brukać. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności napisałem do niego, żeby mi przysłał swoje przyrządy. Chciałam je mieć w takim razie, gdyby mi się nie udało dostać bomby. Następnie napisałam do znajomych z południa, żeby przesłali mój adres „Narodnoj Woli". Od nich odebrałam zaraz odpowiedź, że życzenie moje będzie spełnione, lecz muszę zaczekać.

Drugie moje widzenie z Sudiejkinem odbyło się w karecie. Kiedym do niej podeszła i zobaczyła Sudiejkina, o mało nie krzyknęłam ze złości. Taka wyborna sposobność, a ja byłam z pustemi rękami. Sudiejkin przyjął mię z uprzejmym uśmiechem. Całą godzinę jeździliśmy i rozmawiali. Wypytawszy mię o „sprawy", żarto-

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wzorowy system poprawczy w Stanach Zjednoczonych.

W ostatnim zeszycie *Zeitschrift für Strafrechtswissenschaft* znajdujemy ciekawe szczegóły, dotyczące t. zw. *probation-system* — systemu poprawczego, szeroko już rozpowszechnionego za Atlantykiem, a w Europie nieznanego prawie zupełnie.

Probation-system jest, jak się zdaje, najlepszem dotychczas rozwiązaniem zagadnienia, w jaki sposób uniknąć wpływu, jaki na skazanego wywiera zwykle pierwszy wyrok o utracie wolności, a zarazem jaką drogą, prócz kary, zazwyczaj niewypełniającej swego zadania poprawienia przestępcy, powstrzymać go od dalszych wykroczeń przeciw prawu. Pierwszym krajem, który system ten wprowadził faktycznie i następnie prawnie, jest stan Masachusetts w St. Zjednoczonych; stało się to w roku 1878—początkowo tytułem próby i tylko dla miasta Bostonu.

Główne zasady *probation-system*'u są następujące. Osoba godna zaufania t. zw. *probation-officer* po przesłuchaniu przestępcy, będącego po raz pierwszy pod sądem, zbiera możliwie szczegółowe wiadomości, dotyczące jego wychowania, usposobienia, trybu życia etc., i następnie komunikuje je sędziemu, który w ten sposób posiada o oskarżonym bardziej wyczerpujące dane, aniżeli tego wymagałoby wydanie zwykłego wyroku. Jeśli sędzia na zasadzie tych wiadomości uzna, że poprawa oskarżonego jest możliwa bez zastosowania kary, wówczas uwalnia go warunkowo i oddaje na pewien czas pod opiekę *probation-officer*'owi, zalecając jednocześnie podsądnemu ściśle przestrzeganie odnośnych przepisów, jeśli chce otrzymać świadectwo poprawy, które w przyszłości uwolni go od kary w zupełności. Przepisy zaś te zastosowane są do występku danego osobnika. Jednemu wzbraniają one wydawać więcej nad określoną część zarobku, drugiemu — wracać o późnej godzinie, jeszcze innemu nakazują one nie grać w karty, nie pić wódki i wina etc. *Probation-officer* czuwa troskliwie nad zachowaniem się swego pupila i przestrzeganiem przez niego przepisów; ten zaś zobowiązany jest słuchać w ważniejszych sprawach rozporządzeń swego opiekuna. W ten sposób staje się możliwem usunięcie złych wpływów, a w przychylnych warunkach nastąpić może zupełna poprawa niedawnego przestępcy. Rzecz prosta, iż *probationer*'owi początkowo trudno przezwyciężyć swe nałogi i stosować się do przepisów sędziego, lecz opiekun patrzy na to z pobłażaniem, gdyż w myśl ustawy jest on zwykle nie surowym dozorcą, lecz rozumnym doradcą i cierpliwym przewodnikiem, usiłującym dopomódz swemu pupilowi do usunięcia trudności, napotykanych na drodze do poprawy. Skoro jednak *probation-officer* dochodzi do przekonania, że on nie może lub nie chce poprawić się, poddaje go karze, stosowanej w zwykłych warunkach za popełnione przezeń przestępstwo. Wrazie zaś, gdy termin opieki kończy się bez takiego wypadku, zwraca się opiekun do sędziego, który oddał mu *probationera* pod opiekę i zdaje mu dokładną relacyę z położenia. Sędzia decyduje wtedy, czy można już pozostawić mu zupełną swobodę postępowania, czy też należy przedłużyć okres opieki, radząc się przytem opiekuna, ponieważ ten, dzięki obcowaniu ze swym pupilem, może to wyjaśnić lepiej, aniżeli sędzia, nieznający go zupełnie. *Maximum* czasu, przeznaczonego dla trwania całego okresu opieki, określa sędzia dla każdego poszczególnego wypadku stosownie do okoliczności, jakie towarzyszyły spełnieniu danego przestępstwa.

Probation-system początek swój bierze od pewnego skromnego dobroczyńcy ludzkości, nazwiskiem Rufus Cook, który mniej więcej przed trzydziestu laty często przychodził na posiedzenia sądu karnego w Bostonie i, powodowany współczuciem ku skazańcom, skłaniał sędziów, aby młodocianym zwłaszcza winowajcom dawali możność poprawienia się bez zastosowania kary. Próby uczynione w tej mierze, wydały tak pomyślne rezultaty, iż *probation-system* został w roku 1878 wprowadzony w Masachusetts przez przepis prawny. W przeciągu krótkiego stosunkowo czasu system ten, szczególnie względem niepełnoletnich, znalazł zastosowanie w całych niemal Stanach Zjednoczonych, choć upłynęły lata, zanim wydane zostały odnośne prawa, potwierdzające już tylko faktyczny stan rzeczy.

Jako ogólne prawidło uznać możemy, że sędzia tylko w stosunku do niepełnoletnich przestępców zastosować może *probation-system* wobec wszelkiego rodzaju przestępstwa; w razie zaś gdy przestępca jest dorosły, sędzia może uciec się doń tylko w wypadkach mniej ważnych, wtedy mianowicie, gdy stosować należy niezbyt surową karę.

Najważniejszą innowacyę, jaką wprowadzono do pierwotnych przepisów o *probation-system*, stanowi to, iż w większości stanów sędzia, zanim odda przestępcę pod opiekę, obowiązany jest obecnie wydać wyrok, odraczając w ten sposób tylko jego wykonanie.

Można przypuszczać, iż wobec wielce pomyślnych rezultatów, opisany przez nas system zostanie wkrótce uznany prawnie przez wszystkie stany, które dotychczas tego jeszcze nie uczyniły, tembardziej, iż faktycznie stosowany jest on tam oddawna. Byłoby zaś do życzenia, aby znalazł on jak najszersze rozpowszechnienie w całym świecie kulturalnym.

rl.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Silne ręce i barki wobec bojkotu.

Według *Kuryera Poznańskiego* rachunek tak się przedstawia:

Około pół miliona najemników polskich wyjeżdża corocznie na zarobki do Niemiec. Opłata biletów kolejowych w obie strony po 20 marek — daje skarbowi państwa 10 milionów m.; koszty utrzymania przez 4 dni podróży — 2 marki od osoby — daje przedsiebiorcom niemieckim milion m. Najemnik polski zarabia przeciętnie w Niemczech 2,50 m. dziennie a ponieważ jest tańszy od miejscowego o 25 fen., przeto (przy 200 dniach roboczych) „pracodawcy"

---

wał jak zwykle, dowcipkował i pokazywał mi okolice Petersburga.

Trzecie widzenie odbyło się także w karecie. Powiedział mi on wówczas, że w Moskwie, w moskiewskiej organizacyi „Narodnoj Woli" zaczynają mnie podejrzewać. Niejaki Mikołaj Pietrowicz powiedział, że nie można mi ufać.

To było dla mnie niespodzianką. M. P. spotykałam w pewnem mieszkaniu konspiratorskiem, wiedziałam,że stoi blizko organizacyi centralnej. I nie to mnie zdziwiło, że on mnie nie ufał, bo to było naturalnem wobec zamieszania, panującego wówczas w organizacyi, ale to, że słowa jego doszły do Sudiejkina. M. P. mógł o tem mówić tylko z osobą zaufaną, lub w kole ludzi sobie blizkich — przeto w tem kole musiał znajdować się zdrajca. Byłam zaciekawioną, co o mnie mówiono, że M. P. powiedział przytem, iż nie można dowierzać mi. Może tam mówiono o mojem przedsięwzięciu. Patrzyłam na mego towarzysza i starałam się zgadnąć, czy też on wie, czy nie wie o mojej tajemnicy.

Wydało mi się, że nie mógł wiedzieć, ani też podejrzewać nawet czegoś podobnego, bo przecież na widzenie nie przybywałby tak nieostrożnie.

Tego wieczoru pojechałam do Moskwy, ażeby uprzedzić M. P., że słowa jego ostatnie doszły do Sudiejkina, i żądać, by mówiąc o mnie, nie wspominał o moim zamiarze. Tym razem jestem pewna, że nie towarzyszył mi opiekun, gdyż Sudiejkin nie wiedział o moim wyjeździe, a agent przyzwyczajony był do tego, że ja wieczory w domu spędzałam. Jednakowoż bałam się iść tam, gdzie mogłam spotkać M. P. Ułatwiono mi widzenie z nim drogą pośrednią.

Opowiedziawszy mu, co słyszałam od Sudiejkina, poprosiłam, żeby mój adres w Petersburgu przesłał tym, którzy mogli przygotować mi bombę. Ale M. P. oświadczył mi, że nie może tego uczynić, gdyż jego stosunki z petersburszczanami są narazie przerwane.

Poszukiwać kogokolwiek z nielegalnych nie śmiałam, tembardziej że musiałam spieszyć z powrotem do Petersburga, gdzie moje tajemne zniknięcie mogło stać się wiadomem Sudiejkinowi, wskutek czego dozór nademną byłby wzmocniony; prócz tego możliwem było przybycie wysłańca od organizacyi petersburskiej, na którego przyjaciele z południa kazali mi czekać.

Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość. Czas dłużył się straszliwie, na wolności nie lepiej było, niż w więzieniu. I tem gorzej, że podczas kiedy ja czekałam, tam na Koniuszennej,w żółtym domu,w ponurem gnieździe pajęczem zasnuwano siatki, w które wpadały nowe ofiary bojowników za udręczoną ojczyznę.

Nie mając co robić i chcąc się trochę rozerwać, zwiedzaliśmy z F. okolice miasta — on już był ze mną w Petersburgu, choć najmniejszego w mojem przedsięwzięciu nie przyjmował udziału — prócz tego ja obmyślałam sposoby uwolnienia się od Sudiejkina, w razie gdyby na upragnioną bombę zbyt długo przyszło czekać. Wiedziałam, że już teraz nic mnie nie powstrzyma, nie cofnę się nawet przed zamachem z białą bronią.

Podczas następnego widzenia, czwartego z rzędu, wypytywał mię Sudiejkin, jak idzie mi sprawa, tj. czy udało mi się wejść w stosunki z partyą. Odrzekłam, że nadaremnie szukałam moich dawnych znajomych i prosiłam go,żeby ułatwił mi wejście do tego kółka, o którem wspominał. Miałam nadzieję, że tam uda mi się spotkać kogo z dawnych znajomych, kto pomoże mi przyspieszyć wyzwolenie z tego męczącego położenia. Na tem widzeniu Sudiejkin wypłacił mi drugie sto rubli: moją pensyę miesięczną. Przykro zrobiło mi się niezmiernie. Tem przy-

niemieccy oszczędzają sobie 25 mil. marek rocznie. Z 250 mil. m. ogólnego zarobku według powyższych norm najemnicy polscy zawożą do domu tylko 15 mil., resztę zatrzymują Niemcy. Dalszym, już bardziej złożonym rachunkiem *Kuryer Poznański* oblicza, że robotnik polski umożliwia Niemcom 2 i pół miliarda marek obrotu, od którego zysk handlowy wynosi miliard!

Wobec tej olbrzymiej cyfry nie można się dziwić, że podjąwszy wojnę ekonomiczną z Niemcami, wezwaliśmy do pomocy potężną armię wychodźców „na Saksy", którzy odmową swych rąk mogliby zadać wrogowi dotkliwą klęskę. Miliard marek straty rocznie, to nie kilka tysięcy pudełek cygar lub okryć jawnie i tajemnie przywiezionych z Berlina i Torunia. Okazało się znowu, że Wojtek i Kaśka, którzy osobno są tak maleńcy, iż każdy z niezliczonych opiekunów wsadza ich w swoją kieszeń lub przynajmniej przyczepia jako brelok do zegarka, w wielkiej kupie przedstawiają taką siłę, że bez niej nie można się obyć ani w utrzymaniu ziemi od grabieżców, ani w zabezpieczeniu nieba od niedowiarków, ani w uratowaniu polityki od niemocy. W takich potrzebach wołamy zawsze: ludu kochany, pobożny, poczciwy, niezłomny, ratuj kościół, ratuj ojczyznę, ratuj wszystkich swoich ojczymów i macochy, bo my, twoi mistrze i przewodnicy, sami sobie poradzić nie możemy!

Jakże on odpowiada w obecnym wypadku? Ponieważ my nic nie wiemy o jego ruchach emigracyjnych (a szczerze mówiąc, gdy nam nie brak „rąk", wcale nie jesteśmy ciekawi, gdzie i jak fale chłopskie się wylewają); ponieważ jedynych informacyj dostarczają nam plotki, pogłoski, legendy lub wzmianki dziennikarskie, więc i tym razem zauważyliśmy tylko doniesienie w gazetach, że gdzieś straż pograniczna zatrzymała jakąś gromadę najmitów, przekradających się do Prus. Ile zaś stu roboczych umknęło tajemnie lub przejechało jawnie, o tem nie mamy nawet przybliżonego pojęcia i nie będziemy go mieli również po skończeniu się epoki rautów festiwalów. Z miejsc zaś, gdzie kontrola tego ruchu jest nieco lepszą, przybywa następująca wiadomość: „Wychodźstwo „na Saksy"—pisze korespondent krakowski *Kuryera Warsz.* — przybrało w tym roku rozmiary dotychczas niebywałe. Dziesiątki tysięcy robotników rolnych przejeżdżają przez Kraków. Osobne pociągi, przebiegające kraj od Podwołoczysk do Oświęcimia, zabierają po stacyach pośrednich te silne ręce i zdrowe barki, aby wyładowywać je na granicy Slązka, gdzie czekają już agenci, wysyłający ludzi na robotę. Przed kilku dniami zjawiły się w dziennikach doniesienia, że podaż jest tak olbrzymia, iż część tylko wędrowców za chlebem znajduje pomieszczenie w majątkach pruskich". A więc „silne ręce i barki" odmówiły udziału w bojkotowaniu Niemców i nadzieja ukarania wrogów miliardem marek straty rozwiała się zupełnie.

Skąd ten zawód? Niejaką pomoc w rozwiązaniu zagadki okazuje nam jedno z pism ludowych. „Droga, którąśmy przeszli — mówi ono — jest bardzo długa—ma cóś ze 400 lat. Smutna to droga: lud, idąc nią, prowadzony przez swoich przewodników, przyszedł do kraju, który się nazywa: niewola i upodlenie... przyszedł do bagna, nędzy, pijaństwa i zamieszania. Więc nie dziw, że tę drogę przeklął, że dalej nią iść nie chce... Dlaczegóż wy, coście lud przywiedli nad brzeg przepaści, powiadacie, że prowadziliście go dobrze?.. Lud już z wami iść nie chce; czemu go tedy gwałtem ciągniecie?" Oświadczenie bardzo wyraźne i jasno tłomaczące „opór silnych rąk i bark" przeciwko namowie do osaczenia Niemców. Lud z 400 letnich doświadczeń wyciągnął dla siebie tę naukę, że powinien znaleźć „swoją drogę", dlatego gdy przewodnicy komenderują na prawo lub wstecz, on zwraca się na lewo lub naprzód, gdy wołają: „nie chodź na Saksy", on rzuca się tłumnie do Niemiec.

Ale chociaż to jego odchylanie się w przeciwną stronę kierunków zalecanych niewątpliwie istnieje, nie działa ono samo. Tak dalece lud nasz nie wyzwolił się i nie dojrzał. Dojrzała natomiast oddawna jego ciemnota i nędza. Jedna każe mu szukać ratunku a druga wskazuje ten, który znaleźć można łatwo na wydeptanych ścieżkach. Zanieśmy do brudnej, nędznej, zatęchłej chałupy ołtarz miłości ojczyzny, rozłóżmy na nim mszał narodowy, odczytajmy z niego uroczyście wszystkie modły patryotyczne chłopu, który wraz ze swą rodziną dojada ostatnie kartofle, jego głodnej żonie i dzieciom, które opowiadają sobie w fantastycznych bajkach o hrabiach i królach, jedzących codzień słoninę — i zażądajmy od nich przysięgi, że nie pójdą na zarobek do Niemca? Co oni nam odrzekną? Prawdopodobnie podniosą krzyk a „filar, na którym spoczywa przyszłość narodu", powie:

— Gdybyśmy wiedzieli, jak to inaczej zrobić można, ażeby opłacić podatki, nakarmić bydlęta i samym nie zdechnąć z głodu; gdybyśmy mieli na grzbiecie sukna i płótna a w garnku mięso, to byśmy sobie — jak panowie — dobrze podjedli, zakąsili ojczyzną, popili patryotyzmem i nie chodzili „na Saksy". Czy to panowie nie dają koncertów i nie przyjmują posad u Niemców, jeśli ci dobrze zapłacą? Dlaczego to my, głodni i obdarci, mamy się wyrzec zarobków, którymi panowie syci i odziani nie gardzą? Dlaczego my mamy urządzać bojkot, w którym panowie tylko rozkazują? Dlatego, że nas jest dużo?

Nie pierwszy to i nie ostatni raz chcemy uruchomić lud do walki, do której przedtem nie przygotowaliśmy go i w którą nie włożyliśmy jego dobra. Dopóki nam do niej niepotrzebny, staramy się tylko wyzyskać go i ubezwładnić — nie dokucza nam jego nędza, nie boli cierpienie, nie zasmuca ciemnota. Jest on dla nas kopalnią, z której wydobywamy własne korzyści, jest lasem, z którego wyrąbujemy materyał budowlany i opałowy, jest płodną ziemią, w którą siejemy ziarna własnego interesu. A gdy on się stanie zbiorem skał niepodatnych naciskowi rąk naszych i odbijających bezdusznie echa naszych wołań — dziwimy się. Kto u nas ma prawo wzywać lud do udziału w przedsięwzięciach narodowych a tem mniej mu rozkazywać? Uczyniliśmy go morzem martwem — jest morzem martwem, w które daremnie wpuszczamy nasze ikry i daremnie usiłujemy jego leniwe fale zburzyć patryotycznem dmuchaniem. Lud polski urządziłby Niemcom straszny bojkot, gdyby on się składał z 7 milionów światłych obywateli a nie z 7 milionów głodomorów i zahukanych prostaków. Dziś widzimy tylko jego „silne ręce i barki", a do walk narodowych potrzebne są głowy i serca.

Poseł Prawdy.

---

krzej, że oboje z F. musieliśmy żyć z tych pieniędzy, gdyż prócz nich nie posiadaliśmy żadnych innych środków utrzymania. Złotopolski oświadczył mi w Moskwie, że wystara się dla mnie o pieniądze, ale ja odmówiłam wtedy, zapowiadając, że będę na utrzymaniu rządowem. Wiedziałam, jak wielu było w partyi nielegalnych, którym należało dać sposób do życia, a czy tak, czy owak musiałabym przyjmować pieniądze od Sudiejkina, nie chcąc moją bezinteresownością narazić się na śmieszność i na podejrzenie. Ale pomimo to było mi przykro.

Na moją prośbę ułatwienia mi zawarcia znajomości Sudiejkin zgodził się chętnie, ale powiedział:

— My możemy—on rzadko mówił „ja"— osiedlić was obok takiego mieszkania, które niedawno zostało urządzone. Ono konspiratorskie i bardzo, zdaje się, ważne, tylko nie wiem, czy będziecie umieli dać sobie z tem radę.

Zapewniłam go, że dam sobie radę, że zrobię wszystko, jak on powie, że już znęczyło mię próżnowanie itd. Ale przy tem przeholowałam, mówiłam z taką natarczywością, tak nastawałam na powierzenie mi tego zadania, że jemu widocznie musiało się to wydać podejrzanem; więc powiedział tylko, że się zastanowi, ale prawdopodobnie to nie będzie dla mnie odpowiedniem.

— Tam potrzeba człowieka doświadczonego—rzekł Sudiejkin—w dodatku w tych dniach trzeba będzie dokonać aresztowań, a wy przecież sprzeciwiacie się temu.

Wracając od Sudiejkina—widzenie miało miejsce w mieszkaniu na Koniuszennej — zastanowiłam się, co czynić, ażeby ocalić zagrożone mieszkanie. I postanowiłam działać w tym razie za pośrednictwem Juszkowej. O adresie jej dowiedziałam się, kiedy siedziałam w zarządzie żandarmeryi, od tego naiwnego młodzieńca, który rozmawiał ze mną w zastępstwie Sudiejkina, i byłam też u niej tego samego dnia, czy zaraz nazajutrz po wypuszczeniu mnie z więzienia. Chciałam jej wówczas powiedzieć o moim zamiarze względem Sudiejkina i prosić, żeby zawiadomiła o tem organizacyę petersburską—wiedziałam, że miała z nią stosunki—by ta dała mi potrzebną pomoc, jak tylko będę z powrotem w Petersburgu.

Ale u Juszkowej zastałam wówczas L. i jakoś odechciało się mówić przy nim, ludzi prawie nieznanych do mojej tajemnicy dopuszczać. Teraz zaś, kiedym nie miała możności ostrzeżenia organizacyi petersburskiej, że Sudiejkin zna mieszkanie konspiracyjne i zamierza wkrótce dokonać w niem aresztowań, postanowiłam znowu zobaczyć się z Juszkową.

Wysiadłszy z karety w zwykłem miejscu, pojechałam natychmiast do niej, ale w domu jej nie zastałam tylko znowu był tam L. Jemu więc powiedziałam, żeby jak można najprędzej udał się do kogokolwiek z organizacyi i w mojem imieniu zawiadomił, że mieszkanie konspiracyjne, które w tych dniach zostało wzięte — zdaje się, że powiedziałam nawet datę — znane jest Sudiejkinowi, który tam wprędce każe dokonać aresztowań. Powiedziałam, że wiem o tem od samego Sudiejkina, z którym tylko co widziałam się, i że bardzo potrzebuję zobaczyć się z kimkolwiek z organizacyi.

Zdawało mi się, że zrobiłam wszystko, co trzeba było, i miałam prawo wierzyć, że moje ostrzeżenie zostanie przesłane, gdzie należało.

L. udał się „niezwłocznie", nawet zdaje się natychmiast po mojem odejściu, ale nie do organizacyi narodnowolnej, lecz do Sudiejkina. Wziął mnie za szpiega z tej racyi, że ja widuję się z Sudiejkinem, pomimo że sama powiedziałam mu o tem, i oburzony przyleciał do niego nawymyślać mu, że nasyła on szpiegów na niego i jemu blizkich, że mu nie wystarcza, iż policyanta posadził o ścianę dla szpiegostwa, jeszcze teraz do domu mu nasyła... Sudiejkin wysłuchał go zdumiony, nic nie rozumiejąc, aż L. opowiedział mu wszystko.

Nazajutrz zawiadomił organizacyę o swym bohaterskim czynie i wszystkich wprawił w przerażenie — bohaterstwo nazwano, jak na to zasługiwało — i zaczęto mnie szukać. Adres mój jednak L. przekręcił.

Nie podejrzewając niczego, w przeświadczeniu, że udało mi się ocalić kilkoro ludzi, żyłam sobie spokojnie przez cały tydzień, aż do następnego widzenia z Sudiejkinem.

(c. d. n.)

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Ignacy Radliński: **Na przełomie dziejowym. Początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześciańskiego. Warszawa, 1907, Centnerszwer i S-ka.**

(Dokończenie).

Czasy Filona przypadły na epokę, gdy Kaligula, Klaudyusz próbowali przy pomocy różnych sposobów rządzenia, do jakiego stopnia dojść może cierpliwość ludzka. Świat w tym czasie mógł się wydawać wielu bezpowrotnie wydanym panowaniu złego i ucieczka od tego świata jedynym ratunkiem. Gdy warunki życia społecznego stają się nieznośnymi, nęci ascetyzm i pogrążenie się w mistycyzmie. W tem też okresie nad egipskiem jeziorem Moria powstają liczne monastery i semnejony terapeutów, Filon pisze dla nich traktat „O życiu kontemplacyjnem", który stanowi pierwowzór kodeksu reguł życia klasztornego. Myśl o Bogu, czytamy tam, tak ciągle zaprząta ich umysł, że nawet we śnie widują piękno boskich cnót i mocy, wielu z nich otrzymuje widzenia różne".

W Palestynie tymczasem z krótkiemi przerwami toczy się rozpaczliwa walka o niepodległość polityczną; wycisnąć ona musiała swe piętno na piśmiennictwie tam powstałem. Nie było tam czasu na wywody metafizyczne, na oczekiwanie zbawienia od słowa. Łagodne pienia Sybilli, dyalektyczne wywody apokryficznego Orfeusza zastąpiły bojowe pobudki, krwawe wizye pomsty Jehowy nad niewiernymi w dniu sądu ostatecznego. W Palestynie pisano objawienia Apokalipsy, spodziewano się zbawienia od pomazańca Jehowy, od Mesyasza (maszejach). Sąd rychły i przyjście zbawiciela narodu żydowskiego oto filozofia ociekającej krwią pod mieczem rzymskim Palestyny. Zamiast dość niezrozumiałej nieśmiertelności duszy, obiecuje się tutaj zmartwychpowstanie ciał na ów sąd, na ów dzień Jehowy. Powstają więc Apokalipsy: „Księgi Daniela", „Księgi Henocha", „Apokalipsa Mojżesza" „Wniebowzięcie Mojżesza" „Apokalipsa Barucha" i wreszcie najbardziej znana, najpotężniejsza „Apokalipsa Jana", w której jedna z głów bestyi apokaliptycznej jest Neron, za jego bowiem czasów była pisaną.

Lecz napróżno autorowie apokalips wzywali pomocy hufców anielskich, napróżno deszczem ognistym zalewali świat; Jerozolima upadła a Rzym stał i nawet za Trajana rozszerzył swe panowanie. Trzeba było szukać dróg nowych. Ponieważ dotychczasowa historyozofia żydowska, polepszenie warunków bytu czyniła zależnem od przewrotów politycznych, dla których dokonania potrzeba było poruszyć siły niepodlegające władzy ludzkiej, przeto wypadało na innem polu, niż polityka, poszukać środków owego polepszenia, należało wynaleźć sposoby prościej prowadzące do celu, niż przewroty kosmiczne. Trzeba było dalej znaleźć sojuszników, należało więc swego boga narodowego zrobić bogiem ogólnoludzkim. Dokonywały tego wszystkiego Ewangelie. „Bądźcie doskonali, jako i ojciec wasz niebieski doskonałym jest" — czytamy w jednej z pierwszych, mianowicie w ewangelii Mateusza. Doskonałość moralna podniesiona tu jest do atrybutu boskości, ten bóg doskonały jest ojcem wszystkich ludzi. Nauka ta więc podnosi naturę ludzką i dla działalności człowieka odkrywa nowy cel: doskonalenie się moralne. Dla podniesionej w ten sposób natury ludzkiej, nie było już konieczności szukać środków odrodzenia zewnątrz siebie lub społeczeństwa. Uzupełnieniem tych słów są następne: „Nie przyjdzie królestwo boże z oznakami, dającemi się spostrzedz; ani rzeką, otoć tu, albo tam; albowiem oto królestwo boże w was jest"! Gdy szło o głoszenie ewangelii wśród żydów, wystarczyło udowodnić na podstawie ksiąg świętych, że oczekiwanym Mesyaszem był Jezus. Inaczej było, gdy miało się do czynienia z ludami obcymi, a zwłaszcza aryjskimi. Ewangelia Jana a głównie listy apostołów były przystosowaniem „dobrej nowiny" do potrzeb świata aryjskiego. W powstałej najpóźniej ewangelii Jana, Jezus staje się istotą nadprzyrodzoną; zstąpił na ziemię nie w celach politycznych, lecz mistycznych i pozostaje w najściślejszej jedności z bogiem, jest z nim wspólistny. Było to zastosowanie metafizycznych pomysłów Filona; Jezus u Jana jest Słowem. Paweł w listach swych głosi, że można być chrześcianinem, nie przyjmując zarazem wszystkich praktyk starego zakonu. Ewangelie apokryficzne, Dzieje apostolskie kanoniczne i apokryficzne, Homilie miały na celu utrwalenie nowych pojęć wśród prozelitów nieżydowskich, zastąpienie legend pogańskich legendami chrześciańskiemi.

Gdy społeczeństwo rzymskie w drugim wieku po Chrystusie nauczyło się odróżniać chrześcian od żydów, jako wyznawców dwóch odrębnych religij, instynktem zachowawczym prowadzone wydało im bój zacięty. Chrześcianom wolno się jednak było bronić słowem żywem i pisanem. Powstaje apologetyka, wraz z polemiką i dogmatyką. W literaturze apologetycznej wyróżnić można dwie szkoły: grecką i rzymską. Pierwsza w filozofii upatrywała poprzedniczkę chrystyanizmu. Platonowi i stoikom nie o wiele mniejsze przypisywała zasługi, niż prorokom hebrajskim. Chrystyanizm według niej był wynikiem zarówno dziejów powszechnych, jak i dziejów narodu żydowskiego; stała więc ta szkoła na stanowisku dziejowo-filozoficznem i z tego stanowiska chrześcianizmu broniła. Szkoła rzymska nie przyznawała żadnych zasług filozofii greckiej, w celu podniesienia znaczenia chrystyanizmu potęgowała cudowność jego pochodzenia, poniżała systematycznie wartość władz umysłowych człowieka i wzbudzała niechęć do wszelkiej nauki świeckiej. Przedstawicielem jej jest Tertulian, z jego sławnem: „wierzę, gdyż niedorzecznem jest". W dziełach jego chrystyanizm przestaje być ustawą spisaną dla grona wiernych, stał się już doktryną uniwersalną, przybrał cechy państwowe. Zbijając zarzuty, jakoby, chrześcianie byli wrogami państwa, Tertulian twierdzi, że oni modlą się za państwo rzymskie, albowiem wiedzą, że koniec świata, oraz te wszystkie okropności, jakie z nim są związane, tylko przez państwo rzymskie, są wstrzymywane. Historya daje nam tutaj widowisko ciekawe. Oto państwo rzymskie owa bestya apokaliptyków, której zbrodnie miały sprowadzić dzień sądu Jehowy, staje się gwarancyą istnienia świata, a sam dzień sądu, który miał przynieść nagrodę za cierpienia, przybrał znaczenie katastrofy, jaką oddalać należało. Chrystyanizm okazuje się dojrzałym, by stać się religią państwową. Gdy to za Konstantyna nastąpiło, apologetyka ustępuje miejsca dogmatyce.

Ze wszech miar godną poznania jest książka Radlińskiego, głęboka znajomość przedmiotu pozwala mu swobodnie obracać się w tej dziedzinie, unikać drobnostkowych dociekań a zwracać uwagę na zagadnienia ogólnego znaczenia. Bystry analityk w splocie warunków powstania badanego piśmiennictwa z łatwością wykrywa te, które oddziaływały najsilniej; właściwa mu zaś syntetyczna zdolność dopuszcza, by dostrzegł w nich wpływ podłoża społeczno-politycznego.

J. O.

Władysław Łoziński: **Życie polskie w dawnych wiekach (wiek XVII—XVIII). Lwów 1908 —Nakładem H. Altenberga.—Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 246.**

Władysław Łoziński, dziejopis Galicyi, rodem z Sambora, brat Walerego (autora „Czarnego Matwija" „Zaklętego dworu") osiągnął w ostatniem swem dziele nowy etap rozwoju. Dziwna jest bowiem linia ewolucyi tego talentu, dziwna wszechstronność i giętkość umysłu.

Student prawa, potem filozofii—następnie krytyk literacki, recenzent teatralny, korespondent pism warszawskich a więc dziennikarz (redaktor *Gazety lwowskiej* przez lat 10) — powieściopisarz („Pierwsi Galicyanie", „Czarne godziny", „Hazardy", „Opowiadania Wita Narwoja", „Madonna Busowiska", „Oko proroka") — estetyk (studya „z estetyki i życia")—wreszcie historyk. Lecz tu nie kres rozwoju. Pierwsze jego dzieła z tego zakresu, to monografie, odnoszące się tylko do Lwowa *„Złotnictwo lwowskie"*, *„Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie"*, *„Sztuka lwowska XVI i XVII wieku"*. Wielkie umiłowanie i znajomość przedmiotu, wydarcie niepamięci świetnej a minionej przeszłości, postawienie przed oczy współczesnych Lwowian potęgi umysłowej i materyalnej, miłości ojczyzny i siły poświęcenia ich przodków zjednało autorowi powszechne uznanie, które znalazło wyraz w dyplomie honorowego obywatelstwa miasta Lwowa, uchwalonym przez Radę miejską 18.X 1906 r. a doręczonym tegoż dnia i miesiąca r. 1907.

W r. 1903 ukazuje się na półkach księgarskich *„Prawem i lewem — obyczaje na Czerwonej Rusi za panowania Zygmunta III"*. Szerszy horyzont, pióro autora nabiera większego rozmachu—obejmuje większe obszary życia narodowego—zmienia się scena i aktorzy. Zamiast miasta i mieszczanina, kupca lub rzemieślnika, lekarza lub uczonego, a zawsze człowieka o wysokiej kulturze—wieś, a na jej tle na pierwszym planie szlachcic, „dyabeł łańcucki", z całą rzeszą „dyabląt", a na drugim, jako akcesoryum sceniczne, chłop ubogi, wyzyskiwany, poniewierany. „Co za świat, co za świat! Ciemny, dziki, morderczy, świat ucisku i przemocy, świat bez rządu, bez ładu, bez sprawiedliwości i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być zawsze trudno a często niepodobna". Oto słowa, któremi Łoziński zaczyna swą pracę a które, mimo licznych zastrzeżeń autora, najlepiej malują wrażenia czytelnika.

Bieżący rok przyniósł nam: *„Życie polskie w dawnych wiekach"*, trzy wieki życia narodu między Dźwiną i Dnieprem a Wartą, między Bałtykiem a Karpatami,—trzy wieki życia wewnętrznego, pozostającego w związku przyczynowym z przeszłością i przyszłością. Olbrzymi zamiar, olbrzymia praca. I tu musimy sobie postawić pytanie: czy wynik, czy cel, t. j. treść książki, odpowiada zamiarowi, t. j. tytułowi? Niestety nie. I to właśnie, ta dysproporcya, dysharmonia między tem, co obiecuje a co daje, uderza prze-

dewszystkiem czytelnika. Przyczyny tego są częścią natury zewnętrznej a częścią wewnętrznej.

Do zewnętrznych zaliczyćby należało rozporządzalność tylko źródłami wydobytemi na jaw, brak odpowiednich monograficznych opracowań poszczególnych gałęzi życia a nadto przeznaczenie pracy, która, jak sam autor we wstępie mówi, miała pierwotnie wejść w skład zbiorowego wydawnictwa, a więc tem samem była ograniczona co do rozmiarów, ujęcia i wykładu.

Wewnętrzne wypływają z natury talentu autora, a więc obok błyskotliwości stylu, świetności języka, wspaniałych psychologicznych szkiców lub obrazów plastycznych, olśniewającej wprost erudycyi brak syntezy ogólnej, brak całokształtu, całość rozpada się na części i robi wrażenie mozajki, w której uwagi widza, na szczegóły rozproszonej, ogół skupić nie umie. To, co daje nam Łoziński, to nie życie polskie, ale fragment tego życia może najpotężniejszy, bo obejmujący życie szlachty, ale nawet w tej swej ułamkowości niepełny, bo szkicujący raczej jego ramy, jego tło, niż istotną treść. Można się zgodzić z autorem, że rdzeń społeczeństwa stanowiła szlachta, ale prócz niej istniał mieszczanin, istniał chłop. Czy obraz nie byłby dokładniejszy, wypuklejszy nietylko przez skreślenie życia każdego stanu, ale co ważniejsza przez ich zestawienie? A mieliśmy przecież wówczas bogate, o wysokiej kulturze materyalnej i duchowej mieszczaństwo w Krakowie, Lwowie, Gdańsku. Szkoda, że przynajmniej życie tej warstwy, która jedynie miała prawo do nazwy narodu, nie jest pełniejsze i zupełniejsze, i że wiele stron jego zupełnie pominięto, np.: Łoziński, mówiąc o zamiłowaniu do zbytków, popiera to twierdzenie cytatą następującą: „Szlachcic średniej fortuny grzebie ojca przy asystencyi 324 księży łacińskich a 150 unickich". Tą cytatą posługuje się Smoleński (Przewrót umysłowy w Polsce XVIII w.) na udowodnienie rosnącej dewocyi w Polsce. W innem miejscu, mówiąc o hypertrofii bogactwa i zbytku warstw wyższych, zaznaczając, że to był tylko „front wspaniały", pomija taką kwestyę, jak zarazę morową, panującą przez cały prawie w. XVII, klęski głodowe, grasujące współcześnie, podczas których tysiące żywiły się korą i zeschłem liściem.

„*Życie polskie*" ujęte jest w cztery rozdziały: „Zamki i pałace", „Dwory i dworki", „Ubiory i splendory", „Dom i świat".

Pałace Szeherezady, skarby Golkondy, tęcze drogich kamieni, blaski złota, szelest bezcennych tkanin—oto co nam przed oczyma przesuwa autor. Bogactwo, zbytek, przepych olśniewają obcych, zyskują uznanie i szacunek Europy. To jedna strona medalu—druga ciemniejsza niestety. Bogactwo jednostek, to ubóstwo narodu — przepych, to zamiłowanie niekulturalnego człowieka do błyskotek—zbytek, to gruby materyalizm, to słowem „front wspaniały" osłaniający kurne lepianki.

Mieliśmy zamki i pałace wznoszone obcą ręką mistrzów włoskich i francuskich, wille i chateaux: a ich użytek problematyczny? Posłuchajmy, co mówi o nich Łoziński: „Zamki i rezydencye wielkopańskie rozpadły się w gruzy; tylko mała ich cząstka zachowała się do naszych czasów w całości i z śladami pierwotnego splendoru. Na gruzach ich urosła legendarna tradycya, poetyczniejsza, chlubniejsza od prawdy. Miały one momenty zasłużonej sławy, epizody dobrze spełnionej misyi patryotycznej i cywilizacyjnej, ale wpływ dodatni, jaki wywierały na społeczeństwo ubiegłych wieków, pożytek, jaki mu niosły, nie odpowiadał olbrzymim kapitałom, jakie w nich leżały, świetności materyalnej, do jakiej się wznosiły, brzemieniu w końcu, jakiem przygniatały lud ubogi, przyczyniający się znojem i groszem do ich blasku. I Rz.-ptę kosztowały więcej, niż dla niej były warte. O ile były warowne, wstrzymywały do pewnego stopnia zagony najeźdźców i dawały schronienie uboższej szlachcie i najbliższym przynajmniej gromadkom bezbronnego ludu; o ile były rezydencyami, zastępowały poniekąd miasta, bo w każdym wielkim dworze był ksiądz, lekarz, aptekarz i rzemieślnik. Dawały ubogiej szlachcie chleb łatwy, ale nie uczyły pracy; były może akademią ogłady, ale bardziej jeszcze szkołą serwilizmu i zuchwalstwa. Wpływu społecznego w kulturalnem znaczeniu i w pełniejszej mierze mieć nie mogły, raz dlatego, że ich stosunkowo było mało, powtóre, że między nimi a całem ich otoczeniem otwierała się przepaść, której wypełnić jedna strona nie chciała lub nie umiała, a druga nie mogła".

A „dwory i dworki"? „Dwór szlachecki i jego patryarchalny, homeryczny sposób życia trwał najdłużej i z nieprzełamanym konserwatyzmem opierał się do najpóźniejszych czasów reformie obyczajów, nowatorstwu i modzie".

Ale tak mury pałaców, jak i modrzewiowe ściany dworów wypełniał bajeczny wprost luksus. Znamieniem tych czasów: „kaprysy i ekscentryczności mody, kosztowność i wzorzystość tkanin, malownicza rozmaitość i żywość kolorów, błyskotliwość ozdób i obfitość klejnotów" cechujące nietylko kobiety, lecz w równej mierze mężczyzn.

A źródło tych zbytkownych przedmiotów? Zagranica: Wschód i Zachód. „Trudnoby było i najupartszemu chwalcy przeszłości zataić przed sobą, że cały ten zbytek, cała ta świetność materyalnej głównie natury, nie zbogaciła kulturalnego mienia narodu, nie poszła na rachunek cywilizacyjnego dorobku; rujnowały się na niej olbrzymie fortuny; całe szkuty złotej, polskiej pszenicy brał Niemiec gdański tak, jak dziś jeszcze europejczyk bierze od murzyna kość słoniową za szklanne paciorki, a nic charakterystyczniejszego nad fakt, że istniał specyalny rodzaj towarów, zwany przez Włochów *roba per Polonia* [1]), obliczony na próżność i lekkomyślność klas bogatych, na ciemnotę i łatwowierność ubogich".

A kultura duchowa? Smutny to obraz Z podróży za granicę przywozi się tylko to, co ujemne — prócz tego wspomnienie różnych dziwolągów i co najwyżej niejasne wyobrażenie „o lanszaftach haniebnie pięknych" w galeryach Rzymu, Wenecyi, Florencyi, Bononii itd. — Kultura materyalna, nie będąca tworem, wykwitem starej cywilizacyi, nie umiała i nie mogła stworzyć potrzeb duchowych, pożądań artystycznych, wykwintu,subtelności—słowem tego wszystkiego, co daje dopiero wartość bogactwu i podnosi je do miary czynnika postępu. Biblioteki, galerye należały w czasach owych do rzadkości już nie w domach szlacheckich, ale nawet magnackich. I tu mimowoli nasuwa się porównanie z mieszczaństwem lwowskiem tejże epoki. (Łoziński „Patrycyat lwowski") Dr. Stanisław Dybowicki († 1618) pisze w testamencie: „Ruchome dobra moje różne są, a najprzedniejsze są drogie klejnoty uczciwości i wokacyi mojej—księgi".Dr. Marcin Korzeniowski († 1650) zostawia 380 dzieł łacińskich i polskich, dr. Erazm Syxt († 1635) 800 łacińskich, polskich i włoskich. „Nawet po ubogich mieszczanach i rzemieślnikach inwentarze wymieniają zapas książek polskich a nawet łacińskich" np. „Statuty Sarnickiego i Łaskiego, Durandus, Lipsius, Manutius, Erazm Rotterdamczyk, Machiavelli, Horacy, Cycero, Virgil, Arystoteles, Terencyusz", a „po Grzegorzu Szponerze, który był nieledwie tylko kramarzem — inwentarz książek, obok wielu starożytnych klasyków wylicza: Manucyusza, Bemba, Rutlanda, Murata, Kromera, Miechowitę, Kochanowskiego, Herburta itp.".

W rozdziale: „Dom i świat", zawierającym mnóstwo ciekawych szczegółów, uwypukla się i zwraca uwagę sylwetka współczesnej kobiety i jej stanowiska w społeczeństwie.

„Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą kultury obyczajowej było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całem znaczeniu tego słowa dostojne; wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny. Żona „klejnot drogi" żona „miły i wdzięczny a tobie równy towarzysz", żona „ozdobą mężowi", żona „głowy korona" — wszystkie te nazwy, spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy... to nie były czcze tylko słowa, jak tyle innych w naszej niezawsze szczerej literaturze, to była prawda; stwierdzają to wszystkie inne, najwięcej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości; akta żądowe, intercyzy, testamenty, listy poufne, nie mówiąc już o pamiętnikach. Jest to rys naprawdę charakterystyczny, że żonie dawano zazwyczaj nazwę „przyjaciela".

Nietylko szlachta, ale i wielcy panowie, którzy łatwiej i wcześniej odbiegali od staropolskiego słownika i obyczaju, przyjacielem mianują żonę... Pod tą nazwą przyjaciela kryje się wyraz emancypacyi kobiety w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa. Widząc w żonie przyjaciela, dawano jej niejako niezależność od znikomych warunków upodobania, od młodości i piękności; wymagano od niej nietylko sentymentu, ale i męztwa, nietylko serca, ale i rozumu... Kobiety często dorównywały mężczyzom energią czynu i męztwem, a w regule przewyższały ich ambicyą... Wpływ kobiet polskich przekraczał często granice świata domowego, w którem królowały, sięgał w życie publiczne i jego najważniejsze nawet sprawy".

Tak się przedstawia mniej więcej książka wolna od balastu cytat i notat a więc tem przystępniejsza szerszemu ogółowi. Pisana z werwą i życiem, pięknym i dźwięcznym językiem z wielkiem zacięciem literackiem, oparta na całym aparacie naukowym, czerpiąca swe źródła w aktach grodzkich i ziemskich, spisach i inwentarzach, testamentach i intercyzach, raptularzach i pamiętnikach a wreszcie w ówczesnej literaturze pięknej, daje piękny zespół sztuki i nauki. Wdzięczność się też należy autorowi, że mimo wyczucia, jak to zaznacza w przedmowie, pewnych braków oddał ją do użytku publicznego. Szkoda tylko, że do tego ostatniego swego dzieła nie zastosował metody wydawniczej, używanej przy dziełach poprzednich, a mianowicie nie zaopatrzył w ilustracye „Zamków i pałaców" „Dworów dworków"a zwłaszcza„Ubiorów i splendorów". — Książka zyskałaby na plastyczności i wymowie.

Zakończmy słowami autora: „Koniec XVIII wieku—koniec staropolskiego świata. Zdawałoby się, że koniec stanowczy, ostateczny, koniec końców. Już dlatego, że świat ten nie zanikał, nie ustawał, nie przeobrażał się normalnym biegiem społecznego postępu i rozwoju, ale urwał się niejako gwałtem i katastrofą, runął wraz z bytem politycznym. A przecież ta demarkacya była tylko polityczna, ta granica pozostała płynną, *i nie byłoby to może niewdzięcznem zadaniem dla historycznego badacza-psychologa wykazać, jak tej przeszłości jesteśmy już dalecy i jak jeszcze blizcy*".

Alim.

[1]) Przypomina współczesne wystawy sklepowe wiedeńskie, wiosną i jesienią, złożone z tandety a przeznaczone „dla Polaków".

LITERATURA I SZTUKA.

Młoda Rosya.

6. Pędy, zapędy, zamęty.

Poeci, których kolejno w szkicach poprzednich opisałem, nie należą do najmłodszych. Nie o wieku myślę tu, choć każdy z nich przekroczył już czterdziestkę — lecz o stosunku do otoczenia. Można bowiem mówić o szkole Balmonta lub Briusowa, można też dopatrzeć się poszukiwań na drodze objektywizacyi życia, próchnienia przegniłej rzeczywistości a la Sologub — niebawem, więc drogą reakcyi, zrodzi się wytęskniony obecnie kierunek „bytowy”, zmartwychwstając pod znakiem Gogola, Ostrowskiego, Czechowa.

Dziś jednak zamęt wśród „twórców”, — lament wśród krytyków. Niesłychany pęd do beletrystyki, jako ferment porewolucyjny, tak rozliteraturował publiczność, że pozwala ona istnieć dziennikom, służącym wzajemnej adoracyi przeróżnych klik, że o poszczególnych artykułach „krytycznych” pierwszego lepszego pismaka mówi „cały Petersburg”, że gazety poczuwają się do obowiązku w specyalnych rubrykach informować Rosyę i świat cały o tem, że p. X, autor takiej a takiej noweli, wyjechał na tydzień do Moskwy, pan Y, przyjaciel znajomego Andrejewa, zaszczepił sobie ospę, a wujaszek p. Z. wybiera się z wizytą do Tołstoja, ale niestety, dotychczas nie został zaproszony. A cały ten fajerwerkowy wytrysk argonautów, podsycany przez dziennikarzy za pomocą reklamy, tak pomieszał wartości, tak zniwelował wszystko, co w „najmłodszych” było zadatkiem ich własnego „ja”, że mówić o nich podejmuję się tylko hurmem. Pomijając wszędobylstwo dekadentów, parnasistów i psychopatów rosyjskich, uniemożliwiające jakiekolwiek ściślejsze wyodrębnienie jednostki. W literaturze tej pulsują prądy masowe, o których mówiłem na początku swego studyum, a prądy te, czepiając się to zmodernizowanej nauki, to zawadyackiej mistyki, zawsze znajdują swego *chevalier sans peur et sans reproche*, który je odgradza gestem od poziomości i szczytne posłannictwo wieści.

Z najmłodszych tedy, wybrawszy tylu, aby módz ich nazwać legionem, wymienię po imieniu wspominanego już mistrza Wacława Iwanowa oraz o wiele młodszego Jerzego Czułkowa, i opowiem o prądzie, który się zwie raz „sobornym indywidualizmem”, raz „anarchizmem mistycznym”, a kiedyindziej „mytotwórczością”.

Jak się dzieje, że „indywidualiści”, zatęskniwszy za obcowaniem gromadnem, rozpoczęli kampanię z bojkotującą ich twórczość publicznością”? Że „mistykom sprzykrzyła się cela samotnicza, a bombistom zabrakło do całości ich dzieła dytyrambów pochwalnych? Że estetycy i młodzi uczeni, przenicowawszy pustkę myśli współczesnej, dojrzawszy przyczyny jej „w udręce samotności geniusza”, przyszli do przekonania, że uzdrowi, „uleczy myśl” — nie sztuka odtwarzająca, lecz twórcza, z mytu wysnuta? I że oto, najmniej popolarny, a najbardziej koturnowy poeta, Wacław Iwanow — ów „wiecznie młody tyrsoforus”, jak go w jednym z wierszy nazywa Briusow — w odpowiednio mglistych wykładach, gdzie pokutująca szczerość aspiracyi walczy na śmierć z jałowością terminomana, usiłuje siać ideę „soborną” między tłum kulawych adeptów dyonizyjskiego kultu?

Otóż trzeba sobie przypomnieć, że żył i umarł przed dwudziestu siedmiu laty najmroczniejszy z geniuszów Rosyi, a może i świata—Teodor Dostojewski. Że w człowieku tym, który widział czeluście, zamknięte dla innych, zamieszkał Chrystus i że Chrystus ten walczył z przemożnym Biesem. Że raz zwyciężał jeden, raz drugi, lecz że tryumf odniósł bogoburca, niszczyciel Człowiekobóg, wobec którego Konrad mickiewiczowski jest zaledwie zbłąkanym aniołem. I że wreszcie natura ludzka tak jest boleściwa w swym optymizmie, iż nie może długo piekła w łonie chować, a przeto, wygasiwszy ogień po doczesnej śmierci Biesa, włazi w nie z nogami, w dobrze okutych butach i zadeptując resztki zgliszcz, rozpoczyna budowanie pod znakiem tegoż Biesa, ale nawróconego, gwałtem dla bieżącej sprawy pozyskanego.

Cienie Dostojewskiego spoczynku nie zaznały jeszcze. Był czas, gdy Mereżkowski piekło „Braci Karamazow” obnażył z osłony przypadkowości, lecz przeanalizowawszy rosyjskiego człowiekoboga, uląkł się wyrzec słowo ostatnie o istocie jego i posłannictwie. Nie intuicyi mu zabrakło, lecz kongenialnej mocy niszczenia. Będąc bowiem z gruntu myślicielem religijnym i sympatykiem „wyzwolonego” prawosławia, autor antychristowej Trylogii trwożliwie wyczuwał wszelkie niebezpieczeństwo, dostrzegał najniewinniejszych przemytników ideologicznego dynamitu, zwiastował Urbi et Orbi „nadciągającego Chama”, alogdy zakołysane jego własną dłonią, wizye Dostojewskiego, wizye tragicznego demonologa, zatrzepotały przed jego oczyma, jako muzyka realna, jako *noumena*, — naówczas filozof, mistolog, krytyk i poeta pierzchnął na dzwonnicę cerkiewną, by uderzyć w wielki dzwon na „gore”! A za Mereżkowskim chwiejnym krokiem podąża po karkołomnych schodach, drabinkach, krużgankach i ta nieliczna część inteligencyi, która jednak pominno wszystko żyje a więc umie myśleć i po za fenomenami.

Niepodobna nikogo gwałcić i niepodobna nawracać tych, komu dyalektyka wyżłobiła mózg i wytatuowała serce tchórzliwym aprioryzmem. Liczyć się zatem trzeba z faktem, że ci, o których mówić zamierzam, sięgnąwszy wraz z Mereżkowskim do podwalin ducha Dostojewskiego, namacali tam [1]) opokę, na której wolno budować. Stąd i samego ducha okrzyknęli budowniczym; tragedyę rozdwojenia—tryumfem ukochania i afirmacyi. Gdyby jednak sięgnęli jeszcze głębiej — namacaliby próżnię, a wówczas w jakiż pomnik — *aere perennius* — zaklęliby największego nihilistę?

W r. 1904 autor „Gwiazd przewodnich”, oraz „Przezrocza”, poeta-liryk, Wacław Iwanow, którego styl, przypominający produkcye nieśmiertelnego Tretiakowskiego, stał się przysłowiowym, ogłosił w piśmie „odrodzeńców religijnych” — *Nowyj Put'*—rzecz, pod tytułem: *Hellenska religia cierpiącego boga.* W artykule swym, zdradzającym niepośledniе wykształcenie filologiczne zwracał uwagę na masowy charakter bachanalij. „O ekstazie lub szale, jako o zjawisku właściwego kultu, możemy mówić tylko wtedy, gdy przyjmuje ono charakter stanu zbiorowego, co stanowi cechę wybitną orgij dyonizyjskich. Ani bóg, ani ogarnięci zachwytem słudzy jego nie pozostają w samotności. Dyonizyusza otacza jego idealny orszak, „Thias” towarzyszów i towarzyszek... Samotność paraliżuje i powstrzymuje swobodne objawy jaźni, wychodzącej ze swych granic indywidualnych, zlewającej się ze wszystkiem, co jest po za nią i co ją rozszerza... Samotność szału jest prawie równie niebezpieczną, jak stan patologiczny, jak ślepa „Lissa”... Z drugiej znów strony entuzyazm rozpala się jakąś wewnętrzną zarazą... *Taedium sui*, tęsknota samotnej jaźni, wyzwolenie z ciasnoty indywidualnej świadomości, z więzienia *ja*, wyjście z ciemnicy i niemocy własnej — oto sens i dusza” dyonizyjskiego rozwiązania i uskrzydlenia”. To rozpamiętywanie istoty orgiazmu zamiast natchnąć bezpośrednio, właśnie „muzykalnie”, posłużyło za okazyę do dalszych, scholastycznych debatów na temat przesilenia w indywidualizmie, osierocenia geniusza, bratania się dla wspólnych przeżyć. Młody, młodziutki poeta Jara—wiosny, Sergiusz Gorodeckij o wiele szczerzej natchniony, choć w zaraniu swych pisklęcych lotów zmanierowany, w słynnym wierszu dał rodzącemu się kierunkowi motto:

> W korowody, w korowody,
> O, *soborujcie się*, narody,
> Gwiazdy, zwierzęta, góry, wody!..

Inny z młodych adeptów Iwanowa, wyprowadzając genealogię „sobornego indywidualizmu”, śladem mistrza dowodzi zupełnego pokrewieństwa idei Dyonizyusza z ideą Chrystusa. Szereg analogij, czasem trafnych, przeważnie powierzchownych, ma stwierdzać, że „pogaństwo dążyło do chrześciaństwa — do jedynego, świętego, *sobornego* (powszechnego) i apostolskiego kościoła, do ziszczenia idei Baranka, do cierpień Baranka, którego rany uzdrowią świat, do nowego poglądu na świat, jako na cel, a nie na środek, i tylko ta idea ratowała świat od ostatecznej ruiny”. Chrystus, którego święto Wielkanocne obchodzimy na wiosnę, jest równie „bogoczłowiekiem” jak wiosenny Dyonizyusz, lecz doskonalszym; jest nie pierwszym indywidualistą — jak go nazywa Oscar Wilde — lecz pierwszym „sobornym indywidualistą”.

Domyślać się można, że to „soborne” usposobienie poetów-orgiastów zechce się oprzeć na specyficznym charakterze ewolucyi życia rosyjskiego. Skoro Rosya nigdy nie dawała pola do rozwinięcia jaźni, skoro uśmiercała każdy wybuch indywidualnej woli, z wyjątkiem jednej najwyższej, to jest ona krajem błogosławionym dla przyjęcia idei indywidualizmu religijnego, tak jak go w „soborowości” podają uczniowie i egzegeci Iwanowa. „Jeżeli Zachodowi sądzono długo jeszcze przeżywać ciężki i skomplikowany kryzys indywidualizmu, to przejście do sobornego indywidualizmu w Rosyi odbywa się daleko łatwiej. Nowy prąd więc obecnie ze Wschodu,z Rosyi,i my pomożemy Zachodowi w jego ciężkiem rozwiązaniu, i tem zapłacimy za wszystko, cośmy mu winni. Zupełnie zrozumiałem jest, że kryzys indywidualizmu w Rosyi, w kraju żmudnej cierpliwości, dokonywa się lżej; nie mieliśmy tak wrzącego życia historycznego, ruchów protestanckich i t. d.” Wszystko to jednak słyszeliśmy przez lat kilkadziesiąt z ust nudziarzy słowianofilów i bohaterów narodników. Zasada gminy powinnaby już stać się anachronizmem, pokutuje jednak w formie religijnego substratu, w mistyce Sołowiewa, i jak chcą soborni indywidualiści—także u Dostojewskiego. Powtarzam, że gwałcić nikogo nie można; i dlatego jeśli ktoś nad brzegiem przepaści stojąc, rzuca w nią kamyczki w nadziei, że kiedyś zasypie bezdeń, nie powstrzymam biedaka, lecz odejdę, ruszywszy ramionami.

[1]) Fikcyę, bo niezniszczonego „serafina“—Aleksieja Karamazow, w którego Dostojewski chciał zakląć samego siebie przeszkodziła mu nietylko “śmierć, lecz i (w tem co pozostawił) bezwzględna szczerość—zgoda z muzyką własną. Ob. rozdział p. t. „Krzyk świadomości“ w mej książce o Królu Ducha Rosyi (Kraków, 1907).

W książeczce p. t. „Soborny indywidualizm", skreślonej z niesmacznym patosem przez p. Modesta Hoffmana, ucznia Iwanowa, znajdujemy szereg cytat z dekadentów rosyjskich, jak Zenaidy Gippius (żony Mereżkowskiego), Wacława Iwanowa, Briusowa, Gorodieckiego, Sołoguba i innych. Za pomocą fragmentów liryki pomienionych poetów autor dowodzi, że dusza ich, *a więc i wszystkich*, osamotnioną jest bezlitośnie, i że zarazem tęsknota w niej wzrasta za jakimś „powszechnym dzwonem", za wspólną modlitwą do „Boga Nieznanego". Czyż nie było tego po wszystkie czasy? Czy aż do poetów-liryków, do mansardów, kabaretów i haszyszowych dymów zwracać się trzeba, gdy mowa o wiecznym Niesycie, wiecznem łaknieniu?.. I któryż poeta-*twórca* był kiedykolwiek zadowolonym z siebie, jako z wolnego? pod mnisim kapturkiem, któryż z tych szybkobiegaczy przebierał nogami kiedykolwiek na jednem miejscu?[2]) Nigdy nie było tego i nie będzie, dopóki żywie Duch, a nie doktryna. I są obszary, ziemie, a może tylko pasy graniczne, których teoretyk żaden tknąć nie ma prawa, których nie wolno kropić ani wodą święconą, ani łzami, ani hyzopem, ani krwią. Bowiem świętość nazwana po imieniu, staje się wnet fałszem, a dusza jej martwym kamieniem. Jeżeli istniało ciche, wewnętrzne porozumienie między znękanymi poetami, piewcami rozpusty i niemocy, to sfora gawiedzi, a nadewszystko błaznów-„intuicyonistów" winna była paść na twarz i w milczeniu czekać. Stało się inaczej — podniesiony wrzask skamienił i ową rodzącą się w cierpieniu ideę nową, przerwał jej bieg, pozbawił treści trwanie. Bo i czemże jest okrzyk:

w korowody, w korowody i t. d.

gdy nawet niewiadomo, jaki cel mógłby połączyć w jedno inwokatorów z rzeszą? Czyż nie szczerszym, prawdziwszym i doprawdy bliższym sercu nawet tej pogardzonej, pokrzywdzonej rzeszy jest Walery Briusow, nawołujący do katakomb, jaskiń?.. Tam przynajmniej każdy *odnajdzie samego* siebie — tu, w korowodach dyonizyjsko-petersburskich zatraci i tę resztę bezpośredniości, jaką dają białe noce...

Z powyższego wynika, że księżycową teoryą, o ile o teoryi mowa, jest zarówno i mistyczny anarchizm. Każdy poeta anarchistą jest, gdy tworzy, bowiem źródłem tworzywa stan niepoczytalności, haos światła lub ciemni, i wyzwolenie w kształcie jest tylko utrwaleniem procesu uświadomienia. Stąd moc Andrejewa, który większym anarchistą jest, niż sam myśli, właśnie dlatego, że w stanie błogosławionej dziecięcości skrada się do każdej tajemnicy, że rozpaczliwie szarpie zasłonę każdej prawdy, w obłąkanem zapatrzeniu się w własną bezdeń. Jest więc mistycznym anarchistą z łaski istoty własnej.

„Na drogach wolności" nazywa Jerzy Czułkow pierwszy rozdział rzeczy swej o anarchizmie mistycznym, i wypowiada się odważnie, zwięźle i oryginalnie, nawet przy zestawieniu z Mereżkowskim, z którym go łączy pokrewieństwo formalne. Mistycznym anarchizmem jest nauka o drogach ostatniego wyzwolenia, zawierającego w sobie *ostateczną affirmacyę jaźni* w absolucie. Porównywając losy wewnętrzne Bakunina i Dostojewskiego, z których pierwszy od mistycyzmu przeszedł do formalnej anarchii zaś drugi przeciwnie od buntu przeciw rzeczywistości przekroczył do mistycyzmu, wyprowadza Czułkow wniosek, że żaden z nich nie zdołał znaleźć dróg dla połączenia wiecznych pierwiastków wolności i miłości. I drogi tej nie znajdzie duch, co świat „przyjmuje". Więc idea odrzucenia,—„nieprzyjęcia świata"—jako zasada mistycznego anarchizmu. Nie wyczerpuje ona go jednak, lecz jest tylko jedną stroną: negatywem. Gdyby po za odrzuceniem świata, jako widziadła ideologia mistycznego anarchizmu dalej nie szła, mądrość, zawarta w niej, dałaby się pomieścić w ramach buddyjskiego iluzyonizmu. Lecz „nieprzyjęcie świata" posiada dla współczesnej świadomości zgoła inne znaczenie, niż w buddyzmie. „Najwyższe szczęście polega na *zwalczeniu* swego upartego *ja*" — poucza buddyzm; najwyższe szczęście spoczywa w *utrwaleniu* swego *mistycznego ja*" — oto przykazanie współczesne, powiada Czułkow. Jest to więc religia afirmacyi — „die jasagende Religion", jakby powiedział Nietzsche.

Streszczanie dalsze wraz z oświetlaniem ciemnych stron nowego kierunku nie odpowiada wcale celom, które sobie zakreśliłem. Chodzi mi o ogólne szkicowanie prądów myślowych, w których labiryncie snadnie można zaprzepaścić i rozum i wrażliwość. Wyznaję z pokorą, że o ile znajomość z sobornym indywidualizmem na moje szczęście nie dodała mi nic, ani ujęła, o tyle anarchizm mistyczny zniechęcił na szereg problematów, które przedtem roztrząsałem bez niego. Jeżeli takie jego posłannictwo, to wiedzący wie, co o takiej nauce myśleć.

„I o ile słyszymy głos przedwiecznej wolności — jesteśmy uczestnikami nowego życia: nie „dekadentami" jesteśmy, nie grabarzami starego świata, lecz „poczynaczami" nowej twórczości...", tak kończy swe programowe studyum Jerzy Czułkow, a za postacią poety i bojownika wypełza na mistyczną mozajkę... legion — jak wszędzie, jak zawsze. Tylko przypadkowo ten a nie inny został obrany na rzecznika; żaden bowiem, najsłabszy nawet prąd myśli rosyjskiej obejść się bez nich nie może, i każdy poeta gotów na zawołanie bronić litery swego wiersza, a nawet znaku pisarskiego — w odpowiednim traktacie.

I cóż się dzieje?... Powstają „Pochodnie", zrodzone z chwili „trwogi wewnętrznej". Księga płonąca w imię utrwalenia jaźni, w imię wolnego związku ludzi, opartego na miłości do przyszłego przekształconego świata. W dytyrambie wstępnym Wacława Iwanowa Pythia woła:

Z chaosu rodzimego —
spójrz — Gwiazda, Gwiazda leci!...
Z niepokonalnego *Nie* —
Oślepiające *Tak*!...

Księga jedna, druga, czy trzecia — pełne świateł różnobarwnej poezyi. Niemal wszyscy poeci rozpalili swe pochodnie. Czy kroczy śladem ich Idea, rozwinięta przez Czułkowa?...

O nie — idea dawno rozprysła się kaskadą chromatycznych dźwięków po całym obszarze „noumenalnym", i dawno ze słowa powróciła do swego pratonu: muzyki. Liryka została przy dekadentyzmie, jako „przy fakcie psychologicznym", t. j. przy affirmacyi jaźni empirycznej (*a nie mistycznej*), jako celu samego w sobie. Liryka pozostała, jak była, nie zataiwszy w sobie nawet echa z nowych haseł. I jeszcze raz sprawdziła się wieczysta prawda, że ślepym jest ów duch przewodni, co rządzi na rozstajach myśli; kto zapali pochodnie, by drogę swą oświecić, kto rozwidni mrok, spłoszy przewodnika. Bo jest on tym, co choć ślepy — in tenebris lucet. Kto wybiegu, kto chce drogę mu wskazać — przepadnie w morzu niepamięci, strącony przemożną dłonią przeznaczenia.

Tadeusz Nalepiński.

[2]) Zapożyczam tej przenośni od zgasłego przed 5 laty nad indywidualisty polskiego — Jana Wroczyńskiego, autora „Gaworów gwiezdnych", samobójcy.

Z MUZYKI.

„**Wanda**" opera w 3-ch aktach F. Dopplera.

Kto chciałby zdać sobie sprawę z przeszłości opery polskiej na podstawie repertuaru, uprawianego na scenie warszawskiej do ubiegłego roku, doszedłby niewątpliwie do wniosku, że z wyjątkiem Moniuszki, żaden kompozytor swojski nie poświęcał się w dobie ubiegłej tej gałęzi twórczości.

Daremnie, ludzie, obeznani z rzeczywistym stanem naszego dobrobytu artystycznego, przypominali nieraz o istnieniu dzieł, którym wartość techniczna oraz polot oryginalny dawałyby prawo gościny w teatrze Wielkim. Nikt się poważnie nad owymi głosami nie chciał zastanowić, a gdy zbrakło powodów do zasłonięcia się nader dogodnymi w pewnych wypadkach względami politycznymi, wykręcano się lapidarnym acz stereotypowym wyrokiem, który nieodwołalnie piętnował takie dzieła, jako „przestarzałe zabytki archeologiczne".

Zapomniano w sferach, kierujących losami naszej opery, o powszechnie wiadomym fakcie, że we wszystkich innych krajach Europy, tak srogo potępiona w Warszawie archeologia muzyczna nietylko posiada utrwalone a poważnie uznane prawo do bytu, lecz cieszy się względami i uwielbieniem miłośników kulturalnych, zaś w objawach pietyzmu dla istotnie cennych pomników przeszłości, przodują te narody właśnie, na których przykładach najchętniej i najgorliwiej przywykliśmy się wzorować, mianowicie Francya i Niemcy.

Równocześnie jednak, jakby dla umyślnego podkreślenia jaskrawości swojej niekonsekwencyi, na scenie warszawskiej wznawiano ustawicznie (nie omijając, broń Boże, jakiegokolwiek sezonu) nie mniej stare, a często zgoła nie lepsze, dawne ozdoby repertuaru włoskiego.

Nowa dyrekcya opery, nie obawiając się zerwać z miejscową tradycyą, zajrzała do zabytków bibliotecznych, uczyniła odpowiedni wybór, i w ciągu kończącej się zimy wystawiła już dwa dzieła, które podobały się ogólnie, wywołały żywe zainteresowanie w muzykalnych kołach miasta, przyczyniły się do urozmaicenia repertuaru, i przysporzyły teatrowi wcale porządnych dochodów.

O „Jadwidze" Karola Kurpińskiego pisaliśmy na tem miejscu wkrótce po premierze. Poprzestajemy więc tym razem na zaznaczeniu, że dalsze przedstawienia nie osłabiły wrażeń pierwszej chwili, i że przez kilka miesięcy z rzędu melodyjna i popularna ta opera utrzymała się z powodzeniem na pochlebnem stanowisku „sztuki kasowej".

W ostatnim okresie zdobyła sobie względy melomanów, kilkakrotnie już grana „Wanda" Franciszka Dopplera, która dla wielu, nie wyłączając muzyków zawodowych, stała się prawdziwą „rewelacyą". Nie przypuszczano bowiem, aby w czasach Moniuszkowskich, kiedy repertuar ogólny pozostawał pod wpływem wyłącznym wszechwładnej wówczas szkoły włoskiej, istniał u nas kompozytor muzyczny, tak postępowy i śmiały, by wyrwać się z pętów zmanierowanego środowiska, w którem wypadło mu przeżywać i pracować.

Lwowianin, Franciszek Doppler (ur. 1821 roku), ukazuje się w tej swojej pracy scenicznej jako muzyk poważny, o rozległem wykształceniu zawodowem i kulturalnem zacięciu iście europejskiem. Jego „Wanda" to owoc umysłu dojrzałego, zdającego sobie sprawę z rodzaju i celów zadania, którego się podjął. Autor, obda-

rzony widocznie bardzo wybitnym zmysłem krytycyzmu, potrafił nietylko uchronić się od rozpowszechnionych w jego dobie efektów i form opery włoskiej, od których stronił stanowczo, lecz nie popaść nawet w błędy mistrzów, zbliżonych pod względem polotu i sposobu traktowania widowiska muzycznego do jego twórczości.

Najbardziej wśród mocarzy ówczesnego repertuaru operowego na wyobraźnię lwowskiego muzyka oddziaływał Halevy. W „Wandzie" znajdujemy ustępy, nienaśladowane ściśle, ale z nieukrytą starannością wzorowane, które przypominają w znamienny sposób pokrewne pomysły autora „Żydówki". Podobieństwo to ogranicza się jednak tylko do użytku niektórych środków technicznych, zwłaszcza rytmiki w akompaniamencie, oraz do nastroju i zacięcia deklamacyjności w recitatiwach. Melodye wszakże i tematy charakterystyczne posiadają rysunek samodzielny. W formach zaś Doppler liczył się bardziej niż twórca, którego przykład mu przyświecał, z zasadą przestrzegania treściwości, umiarkowania w proporcyach i różnolitości zabarwienia.

Autor „Wandy" jest kolorystą doskonałym i pod tym względem odbija jaskrawo od przeciętnych kompozytorów swojej epoki. W instrumentacyi wykazuje pomysłowość niemałą, przyczem nigdy nie dozwala orkiestrze zagłuszać lub osłabiać brzmienia głosu ludzkiego. W efektach śpiewu zbiorowego, a w szczególności w chórach, spotykamy ustępy, wywierające wrażenie bardzo silne a zdobne, obok umiejętnego wyzyskania barw dźwięczności, w zalety artystyczne nader wartościowego opracowania. „Dreszczowych" dysonansów, ani zgrzytów modernistycznych niema oczywiście w operze Dopplera. Przypuszczać należy przecież, że może z wyjątkiem garstki zapamiętałych schyłkowców, nikt nie uczyni z tego powodu zarzutu autorowi z przed pół wieku. Publiczność zamiłowana, która nie analizując zbyt subtelnie właściwości różnych szkół i prądów, uczęszcza głównie do teatru dla doznawania wrażeń miłych, słucha niepospolitej i zajmującej muzyki „Wandy" z żywem zadowoleniem. Podziwia świeżość i łatwość polotu, ulega sile porywającej niektórych scen i melodyi, przejmuje się przebiegiem obrazowej treści. Jedyne wyrazy skargi, które przytrafiło mi się usłyszeć na przedstawieniu „Wandy", były zwrócone pod adresem dawnych kierowników opery i streszczały się w zarzucie zresztą słusznym że takie dzieło, lepsze i piękniejsze od wielu obcych partycyj, których tytuły wymieniano, zasługiwało na to, by pokolenie obecne mogło poznać je wcześniej.

„Wandę" wystawiono malowniczo i efektownie. Siły wykonawcze, pod kierunkiem dyrektora Zygm. Noskowskiego, przyczyniły się niemało do korzystnego uwydatnienia licznych zalet istotnie cennej a niesprawiedliwie przez wiele lat krzywdzonej opery.

Bojomir.

Książki nadesłane.

— Erazm Majewski: „Nauka o cywilizacyi" prolegomena i podstawy do filozofii dziejów i socyologii. Warszawa, nak ks. Wende i Sp. Str. 332, cena rb. 2 50 kop.

— Maurycy Hillquit: „Dzieje socyalizmu w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki", przełożył z III wydania ang. B. Jędrzejowski. Kraków Sp. nakł. „Książka" skł. w Warszawie Centnerszwer, Lwów Altenberg. Str. 301.

— Kazimierz Krauz: „Materyalizm ekonomiczny" studya i szkice. Kraków, nak Spółki „Książka". Warszawa, Centnerszwer. Lwów Altenberg.

— Lucyna Matysek-Majewska: „Kłamstwo" powieść Skład u Ludwika Fiszera w Łodzi i Warszawie. Str. 280.

— Ludwik Stanisław Liciński: „Z pamiętnika włóczęgi". Str. 113. Lwów—Altenberg. Centnerszwer—Warszawa.

— Czesław Wrocki: „W imię krzyża". Krótki rys dziejów inkwizycyi. Str. 88. Kraków.

— Stan. Koszutski: „Kobieta i polityka". Str. 30, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— E. Chwalewik: „Ekonomiczne czynniki ruchu kobiecego" Str. 20. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Zygmunt Kawecki: „Szkoła" sztuka w 4-ch aktach. Str. 87. Nakl. F. Westa, Brody. Warszawa Wende.

— Oskar Wilde: „Mąż idealny" sztuka w 4-ch aktach, przekł. K Rakowskiego. Str. 108. Nakł. F. Westa, Brody, Warszawa, Wende i Sp.

— Kazimierz Rojan Rosikiewicz: „Tajemnica na dłoni" (w sprawie reformy szkoły średniej w Galicyi). Str. 36. Lwów—B. Połoniecki, Warszawa—Wende.

— Ryszard Avenarius: O przedmiocie psychologii". przeł. I. Kobyliński i A. Zieleńczyk. Str. 112, Warszawa, Wende i Sp.

— Gustaw Lanson: „Wolter" przekł. Dr. Gabryeli Balickiej. Str. 263. Warszawa, Wende i Sp.

— Julia Szanserówna: „Pisanie i czytanie" wzory lekcyj, pogawędek i wskazówki metodyczne. Str. 13. C. kop. 30. Warszawa. Wende.

— N Rybkin. „Zbiór zadań geometrycznych na obliczenie". cz. I planimetrya, pod red. Alf. Dominkiewicza. Nakl. ks. Stiffera. Łódź. Str. 125. Cena 90 kop.

— Dr. Erosalus: „1 Jak kształcić kształty ciała i organy mowy. 2. Jak posiąść piękną powierzchowność. 3. Jak posiąść piękny biust i cerę". Lwów—Moniszewski. Warszawa—Wende.

— Bronisław Bouffałł: „Szkolnictwo średnie w Anglii". Str. 68. Cena 65 kop. Warszawa. Gebethner i Wolff.

— Andrzej Baumfeld: „Andrzej Towiański i Towianizm" zarys chwili i postaci. Kraków. Nakł. Friedleina.

— Zgrzyt: „Szary śmiech" pamiętnik dziennikarza" Str. 136, Nakł E. Wende. Warszawa.

— H. Poincare: „Wartość nauki", przekł. Ludwika Silbersteina. Str. 173 Centnerszwer.

— J. K. Kochanowski: „Szkice i drobiazgi historyczne". Str. 368. Serya II. Warszawa — Wende. Cena rb. 1 kop. 80.

— Cezary Jellenta: „Linie Hoffera". Lwów—Połoniecki. Warszawa—Wende.

— J. Dicksteinówna. „Jeremi polski" (Kornel Ujejski). Warszawa—Wende i Sp.

SPRAWY EKONOMICZNE

Budżet i Duma.

Według telegramów gazet rząd zamierza wywrzeć nacisk na Dumę, by rozpatrzyła budżet koniecznie przed ferjami letniemi; krążą nawet pogłoski o możliwości rozwiązania Dumy w razie, gdyby nie zatwierdziła budżetu w tym terminie. Oczywiście obawy te są bezpodstawne, bo Duma w obecnym składzie z pewnością budżet zatwierdzi; jej prezydyum uchwaliło już 4 posiedzenia tygodniowo, zamiast 2, byle prędzej budżet rozpatrzyć. Sceptykom, niewierzącym w siłę parlamentarną Dumy, mówią czasami: Przysługuje przecież Dumie prawo odrzucenia budżetu. Duma weźmie w swe ręce klucze od skarbca, a wtedy biurokracya będzie musiała ustąpić. Wzgląd, zdawałoby się, nie pozbawiony podstawy. Prawo budżetowe—prawo omawiania i zatwierdzania budżetu dochodów i wydatków państwa — było dla parlamentu zawsze jednym z najskuteczniejszych środków walki z samowolą władzy wykonawczej. Jeśli budżet nie może być wprowadzony bez zatwierdzenia przedstawicieli ludu, jeśli posłowie mają zmieniać różne pozycye budżetu, to stwarza to trwałą zależność materyalną rządu od izby posłów. Czy jednak Duma Państwowa posiada prawo budżetowe w stopniu dostatecznym dla zahamowania samowładztwa biurokracyi? Czy prawo to nie jest uwarunkowane takiemi ograniczeniami, które zamieniają je w złudzenie i fikcyę? Zanim odpowiemy na to pytanie, uważamy za potrzebne w krótkich słowach przypomnieć, jak odbywa się walka na gruncie budżetowym w parlamentach zachodnio-europejskich. Walka ta możliwa jest w formie dwojakiej: izba posłów może po pierwsze odrzucić budżet w całości i odmówić zatwierdzenia go albo oponować przeciwko pojedyńczym pozycyom, znacznie ograniczając w ten sposób swobodę ruchów władzy wykonawczej. Forma pierwsza stosowana była nadzwyczajnie rzadko i w istocie swej jest eksperymentem nadzwyczaj niebezpiecznym. Istotnie, trudno sobie nawet wyobrazić, jaki rozstrój życia państwowego spowodować może odrzucenie budżetu: cały mechanizm państwa zostaje bez soków odżywczych i przerywa swe funkcye.

Kiedy na posiedzeniu francuskiej izby posłów d. 22 grudnia r. 1888 zaproponował ktoś odrzucenie budżetu w całości, ówczesny minister skarbu, Maurycy Rouvier, w przerażeniu zawołał: A czy wiecie, panowie, co to znaczy odrzucić budżet? Jest to zrobić rewolucyę! Odrzucony budżet znaczy, że od d. 1 stycznia nie płaci się procentów od długów, urzędnicy nie otrzymują pensyi, szkoły się zamykają, armia i flota przestają funkcyonować"..,

Przez czas jakiś prowadzono nawet spory na temat, czy parlament ma wogóle prawo odrzucać budżet w całości. W początkach restauracyi ministrowie i zwolennicy przywróconej monarchii Burbonów próbowali odebrać to prawo przedstawicielom narodu. Poseł legitymista de Baunald mówił na posiedzeniu d. 22 marca 1816 r.: Zgromadzenie narodowe tak samo nie ma prawa odrzucenia budżetu, jak oddzielny człowiek nie ma prawa zabijać się własnemi rękami. Inny poseł vice hrabia Saint Chamant uznawał, że odrzucenie budżetu zawsze było zwiastunem wstrząśnień politycznych i największych nieszczęść. Izba posłów niema prawa wywoływania takich przewrotów. Mimo to prawo państwowe Anglii zawsze przyznawało izbie gmin nieograniczoną władzę, a obecnie prawo budżetowe stało się przywilejem niezaprzeczonym parlamentów i na lądzie stałym. Budżet, tak samo jak każde inne prawo, parlament może odrzucić w całości i nikomu do głowy nie przyjdzie traktować tego, jako czyn rewolucyjny. Samo przez się rozumie się, że żaden parlament nie zgodzi się na ten akt bez uświadomienia sobie konieczności takiego przewrotu.

Wypadek niezatwierdzenia budżetu zna sejm pruski, chociaż i tu właściwie mówiąc, był to tylko bezprawny manewr władzy wykonawczej. W końcu r. 1861 pruska izba posłów wykreśliła z budżetu kredyty na reformy wojenne. Rozdrażniony uporem opozycyi Bismark odebrał budżet z izby posłów i wbrew prawu złożył go do zatwierdzenia samej tylko izbie panów. Jednostronne zatwierdzanie budżetu powtarzało się potem z roku na rok aż do zwycięzkiego

ukończenia wojny z Austryą. Budżet wotowała usłużna izba panów, izbie posłów pozostawała tylko droga bezsilnych protestów. Z właściwą mu ordynarną otwartością Bismark przyznawał się, iż postępuje bezprawnie.

Budżetu nie uchwalono. Tak być nie może. Konstytucya nie przewiduje rozstrzygnięcia zatargu. Prawidłowe rozstrzygnięcie powinnoby polegać na załatwieniu kompromisowem. Jeśli kompromis nie uda się, powstaje zatarg a ponieważ życie państwa nie może zatrzymywać się, więc te zatargi stają się zagadnieniem siły. Ten, w czyich rękach jest siła, postępuje tak, jak uznaje za potrzebne.

Po zwycięztwie pod Sadową, kiedy ideał zjednoczonych Niemiec wydawał się blizkim urzeczywistnienia, izba posłów przejęła się wojowniczym patryotyzmem i zatwierdziła wszystkie budżety. Nastąpiła przy tej sposobności ciekawa scena kajania się króla i jego pierwszego ministra. Uznając dokonane bezprawie, Wilhelm prosił izbę, by pomogła mu „wejść na drogę legalną" i sam obiecał, że więcej z niej nie zejdzie. Izba, naturalnie, przebaczyła swemu suwerenowi, ale charakterystycznem jest, że nawet pruski napoły absolutny monarcha nigdy nie zaprzeczał izbie w zasadzie prawa budżetowego w całej rozciągłości.

Drugi wypadek podobny zdarzył się we Francyi i skończył się zwycięztwem izby posłów.

Wybory r. 1877 dały większość opozycyjną, która zażądała dymisyi gabinetu i wyznaczenia ministeryum parlamentarnego. Mac Mahon stanowczo odmówił rozstania się z gabinetem; wtedy izba, aby złamać upartego prezydenta, zaczęła zwlekać z zatwierdzeniem budżetu na r. 1878. Referent parlamentarnej komisyi budżetowej usprawiedliwiał tę zwłokę konstytucyjnemi interesami ludu. Dla nas,—mówił on—stróżów praw narodu, ostatnią ucieczką będzie to, że odkładać będziemy wotowanie budżetu dopóty,dopóki nie zostanie mianowane ministeryum, czyniące zadość życzeniom ludu. Jeszcze energiczniej przemawiał Gambetta: Oddamy nasze złoto, naszą służbę, wyniki naszego poświęcenia tylko pod tym warunkiem, by rząd pochylił czoło przed wolą ludu, wyrażoną w dniu wyborów. Trzeba wiedzieć, czy rządzi we Francyi lud, czy też „jeden człowiek". Na skutek tej pogróżki „jeden człowiek" zrozumiał, że „we Francyi rządzi lud" i zatrąbił do odwrotu. Nowe ministeryum, mianowane z większości izby, nie napotkało, naturalnie, przeszkód do zatwierdzenia budżetu. Oprócz 2 przytoczonych wypadków wiek XIX nie zna więcej przykładów niezatwierdzenia budżetu w całości. Ale za to stulecie ubiegłe bogate jest w przykłady nieprzerwanej walki władzy prawodawczej z wykonawczą na gruncie detalicznego omawiania budżetu. W procesie tym wzmocnił się i utrwalił wpływ instytucyj parlamentarnych na cały ustrój państwa.

Prawo budżetowe Dumy jest nadzwyczaj ograniczone, tembardziej, że nawet w razie odrzucenia całkowitego budżetu, rząd ma możność wykonania budżetu zeszłorocznego. Walka zatem byłaby jeszcze uporczywsza, gdyby nie to, że obecna większość Dumy jest, wyrażając się obrazowo, „bardziej rządowa niż sam rząd" i że skutkiem tego zatwierdzi wszystko, co jej będzie przedstawione do zatwierdzenia.

P. W.

Z prasy polskiej.

Rok już trzeci wychodzi *Siewba* gazeta redagowana przez chłopów i dla chłopów tylko którą jednak i niechłopom radzilibyśmy prenumerować i czytywać pilnie. Troszczymy się, co lud myśli, czytajmy więc, co on sam mówi o sobie i o innych, a choć mowa niezawsze bywa zwierciadłem myśli, przez te jego słowa proste, szczere i śmiałe zajrzymy może i na dno jego duszy.

„Dlaczego—pyta się jeden z współpracowników *Siewby* w Nr. 12 tego pisma—tylu nieproszonych przewodników, którzy krzyczą w uszy: „Nie chodź tędy, ale idź tędy, którędy my ciebie poprowadzimy" — bo przecież każdemu wolno wybierać drogę, którą ma pójść.

„Droga którąśmy przeszli—mówi on dalej—jest bardzo długa — a ma coś ze 400 lat; smutna to droga; lud idąc nią, prowadzony przez swoich przewodników przyszedł do kraju, co się nazywa *niewola* i *upodlenie*. A nie przyszedł tam sam, lecz go przyprowadzono; lud prowadzony przez niesumiennych przewodników przyszedł do bagna nędzy, pijaństwa, ciemnoty i zamieszania, więc nie dziw, że tę drogę przeklął, iść nią dalej nie chce. Lud chce iść swoją drogą, lud już przestał wierzyć tym, co go do tej pory prowadzili, bo zobaczył, że był źle prowadzony".

Tak pisze chłop polski w swojem piśmie. Nie chce być prowadzonym, niańczonym, na pasku wodzonym, chce być sobą, sam drogę swoją wybierać. Śmiałą i pewną ręką, jak ten, który poczuł w sobie siłę, sięga po światło, szczęście — prawo do życia, do szerokiego oddechu wolnej piersi, do wysokich wzlotów powijakami interesowanej nauki nieskrępowanej myśli.

Lud przestał wierzyć tym, co go do tej pory prowadzili—powiada.

A oto co mówi jednemu z takich przewodników chłop z pod Miechowa, b. poseł do Dumy, p. Mateusz Manterys w Nr. 11 i 12 tej że samej *Siewby*:

Na zarzuty, słusznie Wam czynione, nie zastawiajcie się sukienką duchowną i jakimś urojonym wymysłem napaści na Wiarę Św., bo lud dziś rozumie więcej, aniżeli Wam się przedstawia. On, ten lud, tak rozumie dzisiaj, jak jest w rzeczywistości: że Wiara jest Wiarą, tą Wiarą Świętą i nieskazitelną, przekazaną światu całemu przez Chrystusa; a jedni księża są Jej godnymi, a drudzy i nie godnymi tej wiary nosicielami.

Polemizując z ks. Gluzinskim z Łętkowic, który napadł na *Siewbę* w *Roli*, domaga się Manterys, żeby księża w tępieniu złego zaczęli przedewszystkiem od siebie „a w miarę waszego wzorowego życia i czynów lud też mniej będzie miał powodów do użaleń".

Ponieważ ks. Gluziński dowodzi, że „lud dotąd bogobojny, spokojny i pracowity nie narzekał wogóle ani na biedę, ani na prześladowanie, ani na gwałty, ani na panowanie księży"—p. Manterys mu odpowiada:

Biedy u nas jest poddostatkiem, jak mało gdzie w świecie, a to jeszcze biedy takiej, o której ks. Gluziński ani pojęcia niema, albo też nie chce mieć. „Gwałty" są popełniane nad ludem omal na każdym kroku, tylko z tą różnicą, że jedne są moralne, drugie fizyczne, a trzecie materyalne.

Bo i jakże można nazwać to wystawanie chłopów w gankach szlacheckich i księżych, jeżeli nie gwałtem fizycznym i moralnym? Przyjdzie np. chłop interesant do którego z Jaśnie-Wielmożnych pod ganek, a najdalej na ganek, zdejmie czapkę, wsunie pod pazuchę i stoi, jak za karę, całemi nieraz godzinami. Mróz lub słońce znęcają się nad tą zmarszczoną i ogorzałą twarzą, wypalają mu resztki mózgu,—a on stoi i stoi, czekając, aż pies księży lub Jasnego szczekaniem da znać swemu gospodarzowi o przybyciu chłopa, szarpiąc go za poły już nieraz potarganej siermięgi. Od paru miesięcy Sz. autor (ks. Gluziński) zaprowadził taki sam porządek w przyjmowaniu tych interesantów — parafian, którzy czytają *Siewbę* i *Zaranie*.

Teraz pozwolę sobie ks. Gluzińskiego zapytać: czy to nie jest gwałtem wyprowadzać z ławy i z kościoła ludzi jedynie za to, że są czytelnikami *Siewby*? Taki gwałt nieetyczny, niekulturalny, wprost wołający do Nieba, miał miejsce, Sz. księże Gluziński, w Twoim, a raczej Tobie powierzonym kościele, 24 grudnia zeszłego roku, tj. na Pasterce Bożego Narodzenia, kiedy Sz. autor, ubrany w szaty kościelne, stanął przed wielkim ołtarzem i woła na cały kościół tak: „Marcinie Rączka, wychodź z ławy—po raz pierwszy! Marcinie Rączka, wychodź z ławy, bo nie będę odprawiał nabożeństwa, — po raz drugi! Marcinie Rączka, wychodź z ławy,—po raz trzeci!" A czy to nie jest demoralizacyą ludu, jak odprowadzenie na cmentarz noworodka nieprawego łoża, któregoś, księże, prowadził z całą okazałością i powagą kościelną,—a tego, który wiek swój steral na ciężkiej pracy, i zdrowie i siły oddawał komuś drugiemu, aby tylko nie umierał zgłodu, a gdy bieda go nareszcie zagryzła i nie miał na zapłacenie księdzu co najmniej 20 rb., zaledwie sobie zasłużył za długi swój żywot na tej ziemi na pokropek i to jeszcze gdzieś przed bramą kościelną?

Dla bardzo zrozumiałych przyczyn ów noworodek miał taki pyszny pogrzeb: bo on miał szczęście być synem Jaśnie Wielmożnego Pana, a jako od pana—wziąłeś za tę Twoją fatygę sowitą zapłatę.

Dalej, czy to nie jest gwałtem materyalnym zakupywanie przez księży a, ściśle mówiąc, przez jednostki, drzewa budulcowego na rządowych licytacyach publicznych—a później sprzedawanie chłopom na żydowski sposób wyzysku?

Ponieważ ks. Gluziński mówi, że to, co pisze *Siewba*, jest od początku do końca kłamstwem, przeto zmuszony jestem podać miejsce i nazwisko, a podaję jeden tylko z licznych faktów, którego sam byłem świadkiem,—jak ks. Skowera z Prandocina kupił część drzewa w lesie i później sprzedawał chłopom, a jakie były targi i pomruki chłopów, że chce drogo, to aż wstyd tu pisać tego.

Dalej na zarzut, że *Siewba* odciąga lud od wiary, pisze p. Manterys:

Takie bezmyślne i obliczone tylko na głupotę ludu wywody są nietylko śmieszne, lecz i bezczelne, — bo i któż naprawdę nie wie o tem, że Wam tu nie chodzi o Wiarę, lecz o wpływy; nie chodzi Wam o Wiarę, bo lud przecież jej nie burzy i nie gwałci. Jeżeli zaś grozi coś Wierze, to nie od ludu to pochodzi, lecz od Was samych; bo przecież trzeba być ślepym i głuchym, aby nie widzieć, kto te dawne, a obecny i ostatnich dni naszych sekty utworzył. Pod płaszczykiem Wiary starannie ukrywaliście dotąd Waszą nieokiełzaną żądzę władzy i intraty, nielitościwe i niegodne chrześcian zdzierstwa za obsługi religijne nieraz ostatniego grosza. Co się nierzadko zdarza, że chłop po długich targach, dajmy na to, o pogrzeb, chcąc się uiścić zaraz ks. proboszczowi, zmuszony jest sprzedać nieraz ostatnią krowinę, wieprzka lub poduszkę z pod głowy. Taki wypadek miał miejsce parę miesięcy temu w Pałecznicy, u ks. Ganczarczyka,

który zmusił biedną wdowę do sprzedania na pochówek męża ostatniej krowy, tej jedynej karmicielki drobnych dzieci, niemających ni ojca, ni własnego dachu nad głową. To przecież ks. Glozińskiemu dobrze wiadome są takie wypadki, bo pamięta może jeszcze, jak to było z tymi pięcioma rublami, przy pochówku gospodarza Rączki w Jego parafii, a które stanowiły zaledwie jedną ósmą część zapłaty.

Jest przysłowie polskie, które mówi, że „Kto kościołowi służy, ten z kościoła żyje". Ja zupełnie z tem się zgadzam, lecz zlitujcież się na miłość Boga! Bo co innego jest utrzymanie duchownej osoby, które winno być przyzwoite i zgodne ze stanowiskiem sługi ołtarza — co innego jest absolutne obdzieranie ludzi, jedynie po to, aby żyć w rozkoszach świata, niezgodnych z duchem Ewangelicznym, tembardziej dla duchowieństwa. A po śmierci tę chłopską krwawicę, wyciskaną przez całe życie z krzywdą ludu, tę gotówkę w różnej postaci, całymi tysiącami zabierał rząd, krewni, a i te przygodne siostry i ciotki...

Czy to tak nauka Chrystusowa uczy, że gdy w jedno ze świąt Bożego Narodzenia zobaczyłeś gospodarza w kościele, a ponieważ on jest czytelnikiem *Siewby*, to gdy ów gospodarz na trzykrotne wezwanie twoje, księże, aby opuścił ławkę i kościół—tego nie uczynił, rozebrałeś się nazad z szat kościelnych i poszedłeś na plebanię; a w drugi dzień N. Bożego, gdy na twoje słowa, rzucone z ambony przed kazaniem, aby opuścił już nie ławy, bo w nich nie siedział, lecz wyraźnie kościół, czego ten nie chciał narazie uczynić, — wzywałeś księże ludzi obecnych, aby go przemocą wyrzucili!

Ten mianowany przez ciebie, księże, „sługa dyabła" widząc, że nie będzie kazania, a później i nabożeństwa, wyszedł z kościoła, wolał znieść to bolesne i niesłuszne upokorzenie, znieść ten wrodzony każdemu człowiekowi wstyd, aniżeli dopuszczać do gwałtów, bójki, a co zatem idzie i do zniewagi i profanacyi Świętego miejsca i przybytku Boga. I skończyło się na tem, że „Siewbiarz" uciekł z kościoła, a ksiądz uciekł z ambony, bez kazania. Podjudziłeś tych swoich fanatyków, co to formą żyją, a nie treścią nauki Chrystusowej, na drugich parafian, a oni, jako zwolennicy zaślepieni, pod murami świątyni, podnieśli ciężkie i złośliwe języki i omal do pięści nie doszło. A skutkiś już widział z tego, księże, i ten owoc błogi, — bo się aż do sądów zaprowadzili".

„Przez dziewiętnaście wieków ukazywaliśmy ludowi krzyż, szczepiliśmy moralność i oświatę"—mówisz księże. Zbytecznem było przypominanie komukolwiek, żeście Wy, księża, ukazywali krzyż ludowi; bo obok tej Waszej zasługi, stał i stoi, trochę większy, aniżeli zasługa, Wasz dobrowolnie na siebie przyjęty *obowiązek*. Przecież i lud, jeżeli już tu chodzi o tę przeszłość naszą, w tak pięknych kolorach przedstawioną przez ks Glozińskiego, — ma pełne prawo piersią milionów zawołać tak: „Przez dziewiętnaście wieków, panowie i księża, oraliście i znęcaliście się nad nami, jak nad bydłem!"—Lecz co tu o tem mówić? Nam potrzebne z historyi przeszłości tylko to, z czego możemy budować lepszą przyszłość dla ojczyzny i jej dzieci; lecz co w historyi było niezdrowem wtenczas dla nas, to zapewne dzisiaj może już być trucizną, a więc niech sobie leży spokojnie w archiwach. Narazie chodzi nam o tę moralność i oświatę".

Co się zaś tyczy „szczepienia" przez Was i przez szlachtę oświaty wśród ludu, to przez te słowa Twoje, księże, rozumiemy my, lud, jedno tylko, t. j. urąganie się jeszcze dzisiaj z naszego stanu i upodlenia. Bo i gdzież była, a nawet i gdzież jest ta oświata? Po każdej historycznej, bo aż 19 wieków obejmującej pracy, pozostają choćby ślady ruin. I gdzież one są? Są wprawdzie ruiny w każdej wsi Waszej mozolnej pracy, obecnie tak mszczącej się na Was i szlachcie, — lecz to są przecież tylko ruiny dawnych karczem i browarów... Jeżeli chcemy zobaczyć nagą prawdę, to ona się tak przedstawia:

„Przez dziewiętnaście wieków stawialiśmy kościoły a przy każdym i w każdej wsi karczmę z wódką, aby lud w kościele składał Bogu ofiarę z serca, a nam i szlachcie w karczmie ofiarę z kieszeni; ażeby zaś były dobre z tego dla nas wyniki, zaprosiliśmy do pomocy żydków, aby nam pomagali ten lud ogłupiać a później obłupiać".

Taką to oświatę dawaliście ludowi. Jeżeli koniecznie Sz. autor ma to uważać za oświatę, to niech i tak się nazywa, nam już dzisiaj wszystko jedno... Lecz nie smuć się, księże, tym moim wywodem i objaśnieniem; bo chociaż każdemu człowiekowi, który tylko czuje i myśli popolsku, jest takie wywleczenie smutnej przeszłości bolesne, to jednak pociesza mię ta myśl, że i to na coś się przydać może, bo może posłużyć do otrzeźwienia kogo należy".

Wiarę wyzyskujecie, dla swojej prywaty, ze straszną krzywdą dla ludu i obelgą dla Jej Świętej Boskości. Zaprowadziliście każdy na swój sposób istny handel ołtarzami pańskimi. Chcesz, chłopie, wziąć ślub, lub ciało drogiej osoby postawić przed wielkim ołtarzem, to za ślub musisz conajmniej 10 rb. zapłacić, a za pogrzeb od trzydziestu i do sta rubli, wedle ceremonii i układu. Jeżeli zaś dasz za ślub pięć rubli, to ci da ksiądz ślub, lecz, jak to mówią, na „rzadki pytel", i to nie przed samym Panem Jezusem, lecz przed bocznym ołtarzem, św. Michała lub Pawła. Takiego ślubu byliśmy świadkami w Racławicach u ks. Penińskiego, gdzie pan młody zapłacił tylko pięć rubli, lecz klęknął z narzeczoną przed wielkim ołtarzem, a ks. wyszedł ubrany w szaty i z krzyżem w ręku, poszedł przed mały, boczny ołtarz i tam stał; młodzi i weselny orszak nie chcą odejść od wielkiego ołtarza, a ksiądz nie chce im dać za pięć rubli tam ślubu. No i poszedł gwar głośny, pomruk surowy między ludźmi. Zaniosło się na wielką burzę. Lecz ksiądz nie ustępował, dopiero paru ludzi po wielkich wysiłkach zdołali skłonić nowożeńców, a raczej otoczenie ich, aby ustąpili i przeszli do małego ołtarza, co też uczynili. Bo niewiadomo, coby się było stało, gdyby nie ustąpili księdzu.

Mówisz dalej, Sz. księże, że duchowieństwo udaje się w obce kraje dla nawracania pogan z krzyżem tylko w ręku. O tem poświęceniu się niektórych księży już dawno wiemy. Lecz między tymi misyonarzami a Tobą, księże, i wielu innymi, jest tak wielka różnica, jak między niebem a ziemią. A ta różnica polega mniej więcej na tem, że gdy pierwsi idą tylko z krzyżem w ręku, to Sz. autor i wielu Jemu podobnych, zanim zrobią parę kroków tylko na cmentarz (nie mówiąc już o dzikich krajach), to ta ręka, co miała ściskać tylko krzyż, musi wprzód uścisnąć i policzyć dziesiątki rubli a inaczej i krzyża nie będzie ręka trzymała, tylko jedno kropidło.

Tak dziś mówi chłop polski, który się poczuł obywatelem swego kraju i zrozumiał czego ma prawo żądać i co mu się należy. Tak mówi jeden, a głos jego—nie wątpimy—jest echem uczuć i myśli wszystkiego ludu polskiego.

KRONIKA.

Sprawy polityczne i społeczne. W komisyi wyznaniowej przedstawiciel synodu oświadczył kategorycznie, że tylko religia prawosławna może posiadać w Rosyi prawo propagandy.

— Wśród obywatelstwa krakowskiego powstała myśl wzniesienia domu dla uczniów Akademii sztuk pięknych, którzy obecnie w najcięższych warunkach, często nie mając dachu nad głową, garną się do pracy dla sztuki.

— Minister sprawiedliwości wniósł do Rady ministrów projekt prawa o uchwaleniu odpowiedzialności karnej za pochwalanie czynów przestępnych w mowie [illegible]

— Dn. 14 b. m. minęło 25 lat od śmierci Karola Marxa; cała prasa europejska poświęciła mu wspo- [illegible]

— *Berl. Tag.* donosi, że naczelnik powiatu będzińskiego wezwał do siebie przedstawicieli partyi narodowej polskiej i oznajmił im, iż czyni ich odpowiedzialnymi osobiście za wszelkie napady na Niemców. Tenże sam *Berl. Tag.* informuje, że w pow. będzińskim wzmocniona ma być konsystująca siła zbrojna przez stały oddział policyi, liczącej 350 ludzi, między nimi 50 konnych strażników.

— Narodowy angielski komitet wykonawczy stronnictwa socyalistycznego robotniczego wydał manifest, w którym oświadcza, że istniejące obecnie związki przemysłowe (Trade Unions) stanowią istotną część kapitalistycznego systemu produkcyi, oraz że uspołecznienie środków produkcyi jest na takiej podstawie niemożliwem.

— Zalegalizowano związek zawodowy pracowników piekarskich z główną siedzibą w Łodzi, którego działalność rozciąga się na całe Królestwo Polskie.

— Frakcya nacyonalistów w Dumie postanowiła wystąpić przeciwko projektowi rządu zniesienia kar [illegible]

— Rozeszła się pogłoska, że Marya Spiridonówna uciekła z zesłania i przebywa obecnie w Australii.

Zaburzenia i zamachy. Zarząd główny więzień państwowych uznał za konieczne powiększenie gmachu więziennego w Radomiu i po opinię, w jaki sposób to zrobić, zwrócił się do radomskiego rządu gubernialnego.

— W Baku pod wóz, w którym wieziono pieniądze, rzucono bombę, która wybuchła z wielką siłą, zabijając kilku ludzi, raniąc wielu. Ale pieniądze ocalały.

— Władze skonfiskowały wydaną w końcu 1907 r. książkę p. t. „Materyały do historyi żydowskiego ruchu robotniczego".

— Na jarmarku w Jedlińsku, w pow. radomskim kilku nieznajomych ludzi zabiło dwóch strażników, raniło trzeciego; i zabitym i rannemu zabrali oni broń.

— Władza administracyjna w Odesie zabroniła uczniom wychodzić na ulicę wieczorem. Spotkawszy jednego z nich, agent ochrany kazał mu się zatrzymać, lecz przestraszony chłopiec zaczął uciekać, wówczas agent dał za nim kilka strzałów i położył go trupem na miejscu.

— We wsi Manucie pod Ozorkowem wykryto skład broni. 15 włościan aresztowano.

— Z powodu ujawnionej, jak donosi *War. Dn.* działalności przeciwpaństwowej zamknięto zakład frebloski C. Witkowskiej przy ul. Leszno w Warszawie.

Aresztowania i kary. Zbiegli z zesłania z Wiatki, powtórnie na Woli pod Warszawą aresztowani zostali Stanisław Wysauska i Alfred Kowalski.

— Żandarmi dokonali rewizyi w mieszkaniu robotników z fabryk Halperna i Piescha w Tomaszowie i aresztowali 32 osoby.

— Od pewnego czasu w Radomiu odbywają się niemal codziennie liczne rewizye i aresztowania na ulicach miasta.

— W Łodzi z wyroku sądu wojennego stracono Władysława Kozłowskiego i Marcina Boreckiego.

— W internecie instytutu rolniczego w Puławach, w mieszkaniach studentów dokonano rewizyi, która nie dała żadnych rezultatów.

— Wyszło rozporządzenie, żeby do jednej miejscowości nie wysyłać więcej nad 10 robotników, skutkiem czego z zesłanych do Jekaterynosławie z fabryki Hantkego wrócono z drogi większość.

— Dwóch oskarżonych o branie czynnego udziału w napadzie na furgon pocztowy, Józefa Syskę i Ludwika Ciupę, przewieziono w kajdanach pod silnym konwojem z Lublina do cytadeli warszawskiej na sprawę w sądzie wojennym.

— W Sławkowie, w gub. radomskiej, aresztowano 11 dziewczyn w wieku od 14 — 21 lat wraz z handlarzem, który wywoził je do Ameryki.

— W Łodzi dokonano rewizyi w lokalu związku zawodowego robotników przemysłu włóknistego w Leśniczowie. Zabrano książki i różne dowody. Aresztowano 4 osoby obecne podówczas a w tej liczbie i prezesa związku.

— Między 16 a 20 b. m. aresztowano przeszło 251 osób i zesłano do Cesarstwa przeszło 100.

Bandytyzm. W petersburskim sądzie wojenno-okręgowym rozpatrywano sprawy 2 organizacyj bandyckich: jedna z nich składała się z 5 osób, druga zaś z 7. Na czele stały kobiety. Sąd skazał 3 osoby — w ich liczbie kierowniczki band—na karę śmierci; co do jednej postanowił prosić o złagodzenie wyroku. 7 z oskarżonych skazano na roty aresztanckie od 3 do 6 lat. 3 osoby uniewinniono.

— Posła II Dumy dr. Karawajewa, trudowika, raniono wystrzałami z rewolweru śmiertelnie podczas przyjęć chorych w jego własnem mieszkaniu. Napadu dopuścili się dwaj młodzi ludzie. Wskutek ran doktór zmarł. Śmierć jego wywołała w mieście (Jekaterynosławiu) wielkie wzburzenie.

Strajki, lock'outy i bezrobocia. Właściciel fabryki wyrobów platerowanych przy ul. Żytniej w Warszawie zwrócił uwagę robotnikom, ażeby staranniej wykończali robotę, ci w odpowiedzi na to zażądali podwyższenia zapłaty, gdy właściciel nie zgodził się—opuścili fabrykę.

— W tkalni Grünbauma w Łodzi przyszło do porozumienia po kilkotygodniowym strajku. Robotnicy zgodzili się na obniżkę płacy, proponowaną przez fabrykanta.

— W Łodzi wynikł zatarg pomiędzy pracownikami w przemyśle drzewnym a właścicielami warsztatów. Na zebraniu pracowników uchwalono nie zgodzić się na propozycyę fabrykantów, dotyczącą przywrócenia 10 i pół godzinnego dnia roboczego i płacy akordowej, fabrykanci zaś wymówili pracę w terminie dwutygodniowym.

Sprawy szkolne i oświatowe. Inspektor szkół m. Warszawy złożył magistratowi projekt utworzenia kursów rzemieślniczych przy projektowanej na Pradze szkole 4 klasowej miejskiej. Wydatki na kursy obliczone są na 3,900 rb.

— Minister spraw wewnętrznych rozesłał do generał-gubernatorów, gubernatorów i naczelników miast cyrkularze, polecające im wzmocnienie nadzoru nad działalnością towarzystw oświatowych i uniwersytetów ludowych.

— *War. Dn.* pisze: „Ponieważ uczniowie specyalnych kursów przy szkole technicznej kolei wiedeńskiej sprzeciwili się zaprowadzeniu wykładowego języka rosyjskiego i w liczbie 90 przerwali naukę, przeto zarząd szkoły zamknął te kursa z d. 14-ym b. m.

Zdrowie publiczne. Na posiedzeniu Tow. Hygienicznego w dniu 8 b. m. postanowiono przy udziale p. Norkowskiej prowadzić w utrzymywanej przez nią szkole kucharskiej kuchnię dyetyczną pod nadzorem lekarzy.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych przystąpił do opracowanie zasad prawa prasowego. Jego zdaniem położenie prasy w Prusach najbardziej odpowiada warunkom i potrzebom Rosyi.

— *Gazeta codzienna* a następnie *Gazeta wieczorna* zostały zawieszone na cały czas trwania stanu wojennego.

— Redaktorowie dwóch gazet litewskich w Wilnie skazani zostali na 100 rb. kary za wydrukowanie artykułów, wzniecających nienawiść włościan do pisarzy gminnych.

— W red. *Tyg. Ilustr.* policya skonfiskowała cały nakład premium *Tyg. Ilustr.* p. t. „Duch-Rewolucyonista".

Wiadomości ekonomiczne. Zarząd główny banku włościańskiego zażądał od filii swoich w Królestwie nadesłania szczegółowych sprawozdań, ile gruntów za pośrednictwem banku sprzedano w ciągu 5 lat ostatnich kolonistom niemieckim, zwłaszcza w gub. lubelskiej, siedleckiej i płockiej.

— Centr. Tow. rolnicze opracowało memoryał, który obecnie wysłany zostanie ministrowi spraw wewnętrznych. Memoryał rolników proponuje tworzenie w powiatach komisyj komasacyjnych, które uregulowałyby sprawy gruntowe za zgodą połowy właścicieli w danej wsi, posiadających połowę ziemi, nie za zgodą wszystkich włościan, jak było dotąd.

Poczta i telegraf. Komisya budżetowa określiła dochody i wydatki głównego zarządu poczt i telegrafów na r. 1908 na 83,075,735 rb. dochody, na 49,167,304 rb. rozchody.

Katastrofy. W Płocku obsunęła się tak zwana Tumska góra nad Wisłą, grożąc zniszczeniem wszystkim budowlom dookoła fary. Część góry runęła w wodę.

Zmarli. Karol Jurkiewicz, przyrodnik i pedagog, profesor Szkoły Głównej w Warszawie, następnie uniwersytetu, gdzie w r. 1877 został dziekanem wydziału fizyczno matematycznego. Redagował pismo przyrodnicze *Przyroda i przemysł*, był członkiem komitetu redakcyjnego „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej", wydał wiele rozpraw dzieł oryginalnych i tłomaczonych. Żył lat 86, kochany i szanowany przez swych wychowańców.

OFIARY.

Dla Towarzystwa Kultury polskiej do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego: Zofia Gilewiczowa z Życzyna w bolesną rocznicę zgonu ukochanych braci Feliksa i Józefa rb. 2.

Na wpisy dla niezamożnej młodzieży polskiej Marya Hulanicka z Kijowa rb. 40.

Na rzecz Towarz. wpisów szkolnych od pracowników Tow. Nikopol-Mariupolskiego z Sartany: Z. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinszmek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 3, S. Prauss rb. 3, S. Hegner rb. 2, S. Poradowski rb. 2, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, Z. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Woroszyłło kop. 50, J. Rzewnicki rb. 3, Z. de O'Byrn kop. 50, J. Tarkowski rb. 1 kop. 50, A. Misiewski kop. 50, J. Szaniawski kop. 50, W. Lenk rb. 1, C. Padarowski kop. 50. Ogółem rb. 53.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.